

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 17 WRZEŚNIA 1927 ROKU

NR 38

TREŚĆ NUMERU: Pani Opinja—*Dr. H. N. Róza Bailly* — *A. R.* Nieco z pod Giewontu — *M. H. Szpyrkówna*. Urywek z dramatu Calderona: „Życie jest snem” — *B. Zan*, Katarzyna od gęsi — *S. Borowska*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Annie Besant o kobiecie hinduskiej—*N. J.* Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *L. M.* Odpowiedzi redakcji. Kiedy i jak wiele można tańczyć, Perfumy—*V.* Znaczenie drożdży rasowych dla wyrobu win owocowych — *Dr. M. S.* Zastosowanie pomiotu ptasiego w ogrodach—*Stan. Schönfeld*. Pranie firanek—*J. S.* „Kabaczki”—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Futra jesienne — *Well*. Serwetka na koszyczek haftem przeciąganym. Wstawka do kap i firanek. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring*, autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Tablica krojów.

PANI OPINJA

W świetnym artykule J. Ł. W. p. t. „O pobłażliwości słów kilkoro” (Nr. 37 „Bluszczu”) zastanowiło mnie, ubocznie przez autora wyrzeczone zdanie: „W Polsce po wojnie opinji niema”.

— Jakto?! — pomyślałam — tyle się u nas mówi i pisze o ludziach i sprawach, stacza się zażarte boje o byle zdarzenie, objaśnia się i rozjaśnia każdy niemal szczegół jaskrawymi reflektorami sądów i osądów, badawczo przeświewa się promieniami Roentgena wszelakie zjawiska naszego odrodzonego życia państwowego, a, mimo to, niema opinji?

Czemże właściwie jest owa „opinja”, że mimo ogromnego aparatu przygotowawczego (prasa, plotka) — niema jej dziś w Polsce?

I kto tu winien? Czy społeczeństwo, które nie umie orzekać, czy może właśnie owi zażarci dostawcy materiałów, dowodów, informacji?

Możnaby sobie, oczywiście, powiedzieć:—I cóż w tem złego, że niema u nas opinji?—Ale sprawa nie jest wcale tak błaha, ani na dziś, ani, zwłaszcza, na jutro, i dlatego trzeba się na krótką bodaj chwilę zastanowić nad istotą i znaczeniem Pani Opinji, której, podobno, u nas niema.

Podkreślam: podobno. Opinja bowiem bez przymiotnika jest właściwie pojęciem nieuchwytnem. Koniecznie musi się do słowa: opinja—doczepić bliższe określenie, które nadaje jej dopiero wartość żywą i przystosowaną. Trzeba więc, aby opinja była: dobra, bardzo dobra, doskonała, mierna, zła, sprawie-

dliwa, krzywdząca, łagodna, potępiająca, życzliwa i t. d.

I wtedy wie się już, co o tem i owem sądzić.

Tylko, że właśnie dzięki temu nieodzownemu przymiotnikowi wytwarza się u nas coś, co w rezultacie robi wrażenie, że u nas opinji niema. Bo gdy ktoś o kimś, lub o czemś wyda doskonałą opinję,— ktoś drugi wystąpi natychmiast ze zdaniem wręcz przeciwnem, a ktoś trzeci oświadczy, że go to wogóle nic nie obchodzi. Czasem ma rację ten trzeci, ale naogół w sprawach, które „poruszają opinję”, trzeba, aby zastanawiający się obywatel miał swoje zdanie, aby się jakoś ustosunkował do ważniejszych wydarzeń życia państwowego, czy społecznego.

Tymczasem jesteśmy aż nazbyt często świadkami dziwnego, niemal paradoksalnego zjawiska: Oto u nas wydaje się opinję łatwo, rzuca się sądy tak od ręki, bez namysłu, bez wahania, na dobrą wiarę,—ale niech się tylko ktoś odważy zaprzeczyć, niech ktoś wyrazi wątpliwość, a rozplonie zaciekle walka, walka na serjo o sprawę, której opinjodawca nie brał przecież poważnie, ani poważnie nie przemyślał.

Możnaby więc raczej przyjąć, że skoro u nas istnieją tak energiczne, tak nieraz dosadne sposoby wyrażania opinji — temsamem opinja jest.

I tu nadchodzi moment, aby się przyjrzeć owemu aparatowi przygotowawczemu, który ma dać społeczeństwu gotowy już rezultat, który, informując, uła-

twia niejako orientowanie się, przekonywa oczywistą niby prawdą dowodzeń.

Niestety, przyznać trzeba, że tu właśnie mieści się początek zła. Bowiem ingredjencje, wrzucane do kotła, w którym warzy się owa mikstura opiniodawcza, są niemal takie, jak w prologu „Kordjana“. Z tą różnicą, że tam szatan kierował się obmyśloną złośliwością, podczas gdy nasi szatani są bezmyślnie szkodziwi.

Dlatego też zmienia się u nas tak łatwo zdania i przekonania, gdyż są one narzucone dowolnie, przy czem naświetlenie zależy od siły i kierunku wiatru, jaki powieje.

I tak wynosi się dziś kogoś—słusznie czy niesłusznie—na niebotyczny piedestał, aby jutro te same ręce ściągnęły go w błoto.

Niema u nas pamięci zasług i złoczyńców, niema nawet rozgraniczających kryterjów. Przymierza się ludzi i sprawy do osobistych i partyjnych potrzeb, bez względu na ich istotną ideową wartość.

Przeciętny obywatel poddaje się tej fluktuacji sądów z uległością i posłuszeństwem, którego przyczyny szukać należy w lenistwie do samodzielnego myślenia i wnioskowania. A może także dzisiejszy obywatel nie nauczył się jeszcze myśleć samodzielnie o sprawach, które doniedawna były mu jeszcze obce? Powtarza więc to, co mu tłustym drukiem wbijają w pamięć, co mu krzykliwie wkładają w uszy, powtarza bez zastanowienia, a dosłownie.

Mówią o kimś źle, piszą o kimś nieładnie, dla czegożby nie krakać na tę samą nutę? Chwalą kogoś przesadnie, wynoszą pod niebiosa, — nieszkodzi dać i swój aplauz.

Szanowny autor artykułu „O pobłażliwości słów kilkoro“ nazywa to niezdecydowanie opinji społecznej — pobłażliwością. Ja sądzę, że jest to raczej dezorientacja opinji.

I nie należy się dziwić, gdy po kilku, czy kilkunastu przykładach, pouczających, że wyrzeczony dziś sąd ulega przez noc zasadniczej zmianie, — obywatel staje się już na wszystko obojętny, a jego wrażliwość etyczna stępieja się. Nie umie już odróżnić zła od dobra.

Tak przecież błyskawicznie idzie w niepamięć jedno i drugie!

Nikom nie szkodzi się złą opinją, nikomu nie pomaga się—dobrą! Wszystko zależy od chwilowej kon-

junktury, od układu jakichś tajemnych sił, od wiecznie kotłujących się zmagani jakichś burzliwych żywiołów.

Z tych samych przyczyn, które u nas powodują lekkomyślną zmienność opinji, wypływa także obojętność na to, jak się do nas opinja odnosi. Jeszcze chwila, a będziemy mówić po polsku: „naplewat“ na opinję!—I w tem leży właśnie niebezpieczeństwo. Bo czyż wielu jest tak silnych, tak niezależnych, tak ideowych, by sąd ogółu nie wywierał wpływu na etykę ich postępowania?

Opinja powinna więc być tą strażą, która opiekuje się rozumnie i rozważnie moralnością społeczeństwa; powinna ostrożnie orzekać,—niczem sędzia, którego wyrok rozgrzesza, lub na wieki piętnuje; powinna zasłudze torować drogę, powinna być niejako sitem, które oddziela ziarno od plewy. U nas, jak dotąd, opinja jest jedynie dwugłosem krytyki, djalogiem dwóch antagonistów, za którymi stoi gawiedź krzykliwa i bezmyślna.

I jeżeli już koniecznie trzeba dodać do słowa: opinja—przymiotnik, to u nas opinja jest najczęściej—niesprawiedliwa. Niesprawiedliwa w kierunku dodatnim i ujemnym. Niesprawiedliwa — to znaczy: mijająca się z prawdą. Jest to objaw smutny, brzydki, zły. Ale nie należy obwiniać o to całego społeczeństwa, gdyż winowajcami są ci, którzy—prawem kaduka—uważają się za jedynie powołanych opiniodawców. W ich to „kuźnicy“ kuje się sądy i osady, aby je z dnia na dzień przekuwać w inny kształt.

Zdezorientowane, w błąd wprowadzane społeczeństwo szuka ratunku w pobłażliwości, która w naszych warunkach umożliwiła niejako gromadne życie. Gdyby nie pobłażliwość, musielibyśmy wkrótce stać się pustelnikami wśród ludzi i, zamknawszy się wśród czterech ścian, przeżuwać niedowiarstwo, karmić się podejrzliwością.

Nie twierdzą, oczywiście, że bezkrytyczna pobłażliwość jest wskazana. Przeciwnie: potępiam ją, jako objaw zawsze i wszędzie szkodliwego oportunistu. Pobłażliwość, źle pojęta, jest wynikiem słabego charakteru, albo nawet i braku charakteru; ale u nas niezdrowe stosunki, wywołane lekkomyślnymi wybrykami Pani Opinji, usprawiedliwiają poniekąd tych, którzy nie mają odwagi potępić, gdyż nie wiedzą na pewno, czy obwinieni naprawdę na potępienie zasługują.

Dr. H. N.



RÓŻA BAILLY



Róża Bailly

Dużo mówi się o tem, jak bardzo szwankuje nasza propaganda zagraniczna. Cytuje się niezliczone fakty, świadczące o tem, jak mało zagranica wie o Polsce, o jej dziejach, jej położeniu geograficznym, stanie ekonomicznym i współczesnej polityce. Podśluchana rozmowa:

— Pani w zeszłym roku spędzała lato w swoim kraju?

— Tak jest, nad morzem, w Gdyni.

— Gdynia... Ah tak, to nad Czarnym Morzem...

Podobnych rozmów możnaby przytoczyć tysiące. Jednak, jeżeli uważnie śledzić będziemy ruch kulturalny w Europie, to zauważymy, że w ostatnich czasach Polska zaczyna interesować szeroki ogół. Jeśli zaś tak jest, to zawdzięczać musimy ten zwrot w opinii takim jednostkom jak p. Róża Bailly, która w tych dniach odwiedziła Warszawę wraz z grupą „Przyjaciół Polski”. Pani Bailly, rodowita francuzka, poświęciła się całą duszą sprawie polskiej i od szeregu lat pracuje na tym terenie. Gdy była nauczycielką w prowincjo-

nalnem mieście Cahors, w okresie szalejącej jeszcze nad Europą burzy wojennej, wpadł jej w ręce, jak to sama często opowiada, artykuł o Polsce i stosunku Francji do bratniego kraju. Wówczas powstaje w jej umyśle projekt zapoznania się bliżej z miłym jej państwem.

Skrętnie zbiera więc książki i broszury, uczy się władać językiem polskim, wreszcie zgłasza swe usługi komitetowi Michelet-Mickiewiczowskiemu. Od tej chwili w jej duszy, przesiąkniętej pewnym młodzieńczym mistycyzmem, utrwała się wrażenie, że spełnia swoją misję. Dokłada więc wszelkich wysiłków i wreszcie udaje się jej osiągnąć wymarzony cel. Powstaje w r. 1919 we Francji „Towarzystwo Przyjaciół Polski”. Należą doń wyłącznie francuzi. Na honorowych członków udaje się p. Bailly pozyskać wielkich mężów naszej epoki: Foch'a, Joffre'a, Poincaré'go.

Wkrótce ukazuje się pismo, redagowane przez p. Różę Bailly, a noszące tytuł „Les Amis de la Pologne”. Pismo to rozchodzi się w kilku tysiącach egzemplarzy, dociera na prowincję i budzi tam zainteresowanie Polską, jej dzisiejszemi i dawnymi dziejami. P. Róża Bailly zrozumiała to, czego wiele ludzi pojąć nie może: Zrozumiała, że Francja, to nietylko Paryż, w którym ścierają się kosmopolityczne prądy, w którym propaganda jednych krajów rywalizuje z propagandą innych, a rezultat tej walki zależy wyłącznie od nakładów finansowych, na jakie Polska dziś jeszcze zdobyć się nie może. To też wysiłek p. Bailly poszedł w kierunku tworzenia komitetów prowincjonalnych, których liczba rośnie z dniem każdym. Zadaniem Towarzystwa jest zacieśnienie węzłów przyjaźni między Francją i Polską przez zbliżenie i lepsze wzajemne poznawanie się obu narodów. Wyeliminowane są, rzecz prosta, wszelkie wpływy polityczne. Natomiast na pierwszy plan wysuwa się propaganda nauki i sztuki polskiej we Francji zapomocą odczytów (wygłosiła ich p. Bailly paręset) filmu, koncertów. Przy szkołach tworzą się grupy uczniowskie „Przyjaciół Polski”; powstają w miastach sekcje naukowe, dramatyczne, kinematograficzne. Towarzystwo publikuje broszury, książki, wydawnictwa ilustrowane, serje pocztówek z widokami Polski. Odbywają się zebrania publiczne w wielkim stylu, tak w Paryżu, jak i na prowincji, nie mówiąc już o licznych bankietach i zgromadzeniach okolicznościowych. A wszystko to jest zasługą tej niezmordowanej działaczki, która kieruje całą robotą, jako sekretarka Towarzystwa; jest ona jego duszą i motorem. W chwilach, dla Polski przełomowych, p. Bailly sercem całym sprzyja sprawie pol-

skiej. Już w czasie plebiscytu śląskiego zbierała podpisy, wyrażające akces na przyłączenie Śląska do Polski.

Energja p. Bailly dziwi zwłaszcza tych, którzy ją znają. Jest w jej oczach coś, co zdradza usposobienie nawskroś marzycielskie, a obok tego coś z romantycznych porywów, a zarazem dziwna, rozbrajająca prostota.

Mieliśmy zaszczyt witać w tych dniach miłego nam gościa w Warszawie. P. Bailly przyjechała do Polski z wycieczką francuską i podejmowana była przez sfery rządowe i towarzyskie Warszawy. Zapytywana, jakie są najbliższe zadania stworzonego przez nią Towarzystwa, p. Bailly odpowiedziała:

— Chcę zorganizować jeszcze kilka wycieczek do Polski. Pragnęłabym też pozyskać wybitne siły

naukowe i fachowe dla wygłoszenia szeregu odczytów we Francji, zapoznać sympatyków Polski z sylwetkami wybitnych mężów stanu Polski współczesnej. Pragnęłabym również utworzyć jaknajwięcej komitetów prowincjonalnych, zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej i akademickiej, która urabiać będzie wkrótce opinię francuską.

Nie wątpimy ani przez chwilę, że p. Róża Bailly zrealizuje ten plan. Należy ona bowiem do rzędu tych kobiet, które nie cofają się przed żadną trudnością, dla których idea jest tłem życia i jego radością. Twórczy jej umysł zbudował dzieło o epokowym znaczeniu. System propagandy, który obrała, jest zupełnie nowoczesny i tem cenniejszy, że na ideowym podłożu oparty. Należy się jej od Polski wdzięczność i cześć.

A. R.



M. H. SZPYRKÓWNA

NIECO Z POD GIEWONTU

Dla różnaitości, po wybuchu artykułów społecznych, postanowiłam napisać coś bezinteresownego. Ludzie lekkomyślni twierdzą nawet, że tylko bezinteresowność może być naprawdę interesująca. Niezależnie jednak od tego, co ludzie mówią, podejrzewam, że to Zakopane usposabia mnie tak frywolnie.

Bo to owo Zakopane ma nastrój zaiste przedziwny. Czy były istotnie czasy, kiedy pielgrzymi pieszo i na furkach wędrowali w zbożnym skupieniu z płaszczyzn mazowieckich tu, pod śnieżne szczyty, i klękali w duchu, a czasem pono i żywcem, na widok Giewontu? Tradycja to jest piękna, ale zamierzchła i mało wiarogodna, jak idylla wilka z jagnięciem w rajskim ogrodzie za Adama. Dziś wprawdzie wilk również chadza z jagnięciem — do Strażysk na kawę i do Białego na poziomki, a wieczorem charlestonuje w Morskiem Oku (tem, z Krupówek, oczywiście!) Ale jest to już zgoła inna odmiana harmonji, i wrócmy do wędrowców.

Otóż dziś biedaczek Giewont poprostu, żeby tak rzec, poszedł na emeryturę. Nikt przed nim nie klęka, i symboliczny krzyż na szosie przekreślił niejako—jego karierę reprezentacyjną. Zaledwie rzadkie niedobitki z epoki kamienia łupanego wzruszają się jeszcze na jego widok i gaworzą łzawo, a niezrozumiale, o uczuciach, jakie budzi w ich duszach. Większość przeszła nad nim do porządku dziennego

i traktuje go dobronudownie, jako właściwą Krupówkom dekorację teatralną, dzięki której mają one (Krupówki) wdzięk specjalny i pewną pikanterję grozy, zmniejszonej na użytek codzienny do wielkości naturalnej. Kapryśne rzymianki lubowały się, podobno, w analogiczny sposób w kąpeli, śniadaniu i długotrwałych zabiegach kosmetycznych, odbywanych wobec dziko ryczącego i miotającego się lwa za bezpiecznie zamkniętem odrutowaniem. Aryjki naszej doby mają gust spokojniejszy, ale w intymnych zwierzeniach twierdzą, że w wielu wypadkach wakacyjnych góry, z Giewontem na czele, „robią“ kobiecie bardzo do twarzy.

Sercem Zakopanego stały się natomiast wyż. wzmiankowane Krupówki, i to w sposób zgoła bezkonkurencyjny. Jest to piękna, prawie wszędzie brukowana, zdobna w kilka latarń i tłumy publiczności ulica, po której co czas jakiś przejeżdża z triumfalnym łoskotem Zakład Oczyszczania Miasta. Jeżeli jest napompowany wodą, wówczas, jadąc, pryska na prawo i lewo wspaniałą fontanną prawdziwej wody, wprost z potoku, i wtedy, chociaż trafia nietylko na ulicę, ale i na chodniki, przechodniom jest bardzo przyjemnie. Ponieważ jednak wszystko się wyczerpuje, a z pustego i król Salamon itd., więc i Zakład Oczyszczania miasta grzmoci czasem ulicami na sucho w tumanach kurzu, z pod którego w popłochu ratują się nieszczęśliwi gruźlicznicy. Kultura jednak robi po-

stępy, i kto wie, czy za lat kilkadziesiąt Zakład Oczyszczania nie stanie na takiej wysokości i nie dojdzie do takiego udoskonalenia, że — nie do wiary! — będzie mógł nabierać wodę, jadąc, w miarę potrzeby, i w ten sposób zawsze siać po drodze tylko uśmiechy radości, co jest pięknym przeznaczeniem wszelkiej instytucji wzorowej.

Wzorową instytucją jest natomiast niewątpliwie ogród miejski, s. p. klimatyka, gdyż tam się idzie, aby zbierać wzorki. Ogród miejski jest przez to oryginalny, że nie ma drzew, ale może jest to celowa staranność władz, aby udostępnić chociaż widok na góry, gdyż nie można, rzecz prosta, jednocześnie iść w góry i siedzieć w klimatyce. W góry zaś można iść, albo nie, ale w klimatyce być poprostu wypada. Każde letnisko, uzdrowiska i zdrojowisko (czy o Zakopanem możnaby powiedzieć: — „górzyśko?..“ Byłby to piękny neologizm, ale nie o to idzie). Każde tedy zbiorowisko ma swoją etykietę i savoir vivre, do którego człowiek taktowny powinien się stosować (albo nie). Zakopane, jako miejscowość wybitnie górską, musi wnieść w tryb życia coś z właściwości charakterystycznych. I tak też się dzieje. Tryb życia prawdziwych zakopian ułożył się skromnie, ale wygodnie i z pewnym wdziękiem. Żadnej przesadnej górskiej fanfaronady, ze zrywaniem się o świtku i zdzieraniem obcasów na karkołomnych wycieczkach! Albo się wypoczywa, albo nie. Śniadanie o dziewiątej. Panie twierdzą, że w mieście człowiek nigdy na nic nie ma czasu więc przynajmniej tu, biedactwa, usiłują rozprężyć napięte nerwy. Masaż, fryzjer, manicure, — to prawda, ale cóż za różnica! Przez okno i z werandy widać Giewont. Świeże powietrze. Górale. Bardzo przyjemnie; zupełnie inaczej, niż w mieście. W takich warunkach nie żal nawet zapłacić tych paru złotych drożej, no, bo przecież trzeba jakoś wyglądać. Wszystkie nowe prądy mówią, że kobieta nigdy nie powinna się zaniedbywać i dbać o to, żeby się podobała mężowi. Męża, wprawdzie, niema, bo siedzi, biedaczek, w mieście, ale są przecież inni mężczyźni. Ba! jest nawet sam Makuszyński, ale już wcale nic nie pisze okobietach i wogóle podobno się żeni. A Witkiewicz podobno napisał taką książkę, że nikt przyzwoity jej czytać nawet nie będzie; ale cóż, kiedy jest ciągle zajęta i w czytelnicy wcale jej się niesposób doczekać! Chodzi zawsze sam i jest, podobno, wrogiem kobiet. Napewno impertynent.

Ale na szczęście jest dwunasta i najwyższy czas iść do klimatyki, bo przecież o drugiej obiad. Przed ogrodem, koło ogrodu i w samym ogrodzie — tłum. Szczęśliwsi siedzą na zdobytych ławkach, niezdary

ponuro łążą, szukając miejsca. Słońce na niebie, Giewont w tle, czerwone i zielone parasole plażowe nad stolikami, orkiestra na werandzie i rycałtowe pożeranie darów Bożych przez szczęśliwców, na których padnie życzliwe oczko „panny“. Wbrew nadmiarowi na całym skądinąd świecie, w kawiarni klimatycznej panien jest stanowczo za mało i, co zatem idzie, każą się cenić w sposób wygórowany. Toteż podczas, gdy szczęśliwsi zjadają poziomki i kwaśne mleka (albo się jest na letnisku, albo nie!) — inni patrzą na to łapczywie, łykając głodną ślinę. Całe szczęście, że jest tak dużo toalet, znajomych, nieznanym, swojskich dzieci, egzotycznych piesków i fascynujących epizodów, że czas szybko mija. I zanim człowiek się dowie tylko małej cząstki tego, kto, gdzie, jak z kim, kiedy i co o tem świat powiedział (znana gra towarzyska dla młodzieży, stosowana z powodzeniem na letniskach, gdyż świeże powietrze odmładza) — już się robi obiad: trzeba iść do Warszawki, Radowidu, czy innego Bristolu, i już.

Przesadą jest, że dzień może się dłużyć, o ile czas dostosowany jest umiejętnie i ze smakiem. Po obiedzie należy się coś i górcom: albo się jest w Zakopanem, albo nie! Toteż prawdziwa, taktowna zakopianka nie splami się nigdy tem, ażeby grać w bridge po obiedzie gdzieindziej, niż na otwartej werandzie, z widokiem na Giewont. Ludzie pospolitsi tego nie odczuwają, ale to zupełnie inny smak i nawet jest w tem coś egzotycznego. Zresztą, taki towarzyski bridge, to zupełnie co innego, bo wtedy każdy każdemu pomaga, a że to weranda i leżaki, więc może być bardzo miło. O piątej trzeba już jechać autem do Jaszczurówki, no, bo teraz tam jest ten modny dancing, — i ciekawam, kiedy to ma być czas? Wróci się najwcześniej na siódmą; trzeba na łeb na głowę przebrać się do kolacji, fryzura, manicure... Kolację się kończy około dziewiątej, a najpóźniej o dziesiątej trzeba już być u Trzaski, no, bo wiadomo, że wieczorem każdy jest właśnie u Trzaski. A przecież ostatecznie, nie można wracać, Bóg wie, o której, bo znowu się człowiek nie wyśpi i będzie miał piekło w niedzielę: — A zmizerniałaś, a nie utylaś, a znowu pewno nie spacerujesz, tylko siedzisz po knajpach i dancingach... i te de., i te de.! — Jak to mężowie. A właściwie, co jeszcze można robić w takim Zakopanem? Przecież chyba nie chodzić w podkutych stęporach i z plecakiem w góry, jak to się czasem widzi? Albo się przyjechało dla przyjemności, albo nie! I tak się ma ten Giewont i w klimatyce, i z werandy, i wszędzie! No, nie? A biedny, stary, wysortowany Giewont podłożył sobie obłok pod głowę — i śpi!



B. Z A N

URYWEK Z DRAMATU CALDERONA „ŻYCIE JEST SNEM“

Przekład z oryginału hiszpańskiego

AKT I

SCENA I

(Rzecz dzieje się w Polsce. Dzika okolica górską. Z jednej strony urwiska, z drugiej — wieża-więzienie. Brama wprost widzów uchylona. Akcja rozpoczyna się o zmierzchu).

Rozanda (Dama). Trąba (jej giermek). Rozanda, w przebraniu męskim, ukazuje się na szczycie skał i spuszcza się w równinę. Za nią Trąba. Koń Rozandy ucieka

ROZANDA: Hipogryfie rozszałały,
Co mkniesz, jak zawierucha od skały, na skały!
Opętańcze andaluski!
Ptaku bez tęcz, rybo bez łuski,
Błyskawico bez płomienia,
Istoto, pozbawiona rozumu istnienia!
Dokąd, w labiryncie skał,
Których boki pianą rosisz,
Tak porywasz, tak ponosisz?
Wolny gończe, wstrzymaj cwał
Rozhukany, obcy pętom!
Bądź nowym Faetonem tutejszym zwierzętom...
Gdy ja, śladem tej ścieżyny,
Którą Los mi wydeptał, gnąc kosodrzewiny,
Ślepa i rozpaczą gnana,
Zstąpię na dół, gdzie ta ściana
(Wśród manowców przesmyk kozi)
Zmarszczkami czoła zda się słońcu grozi.
Ziemio Polska, źle przyjmujesz
Cudzoziemca! Krwią farbujesz
Jego ścieżki na swych piargach!
I zaledwem przybyła, cała jestem w skargach,
Słusznie głoszą przepowiednie:
„Niemasz znikąd pociechy na nędze powszednie“.

TRĄBA: Dwoje nas tutaj ugrzęzło — azaliż
Pozostawić mię myślisz w karczmie, gdy się żalisz?
— Skoro dwoje w świat wyrusza
Z ojczyzny, szukać przygód, których pragnie dusza;
Śród bzdurstw i opacznych zdarzeń,
Dwoje brnęło drogą marzeń,
I dwoje się stoczyło na łeb z tych krzesanic:
Wszak nie brać mię w rachubę nie przyda się na nic.

ROZANDA: Nie wciągam cię, mój Trąbo, w skarg różaniec długi.
By nie ująć ci zasługi:
Byś sam, płacząc własnej doli,
Mógł poszukać pociechy, kiedy los dozwoli,
— Pewien mędrzec, czy konował,
Tak się w skargach rozlubował,
Że chcąc cierpieć — nim grom błysnie,
Szukał nieszczęść naumyślnie.

TRĄBA: Pijaczną i ciemną
Był ten mędrzec. Dłonią tęgą
Niechby mu kto na odlew dobrą porcję wylał.

A miałyby, czego żądał — i słusznieby chlpał.
— Lecz cóż, Pani, pocznem ninie,
Pieszko, sami, zbłąkani i o tej godzinie;
W gór bezludnych Jedykule,
Gdy słońce spać odchodzi na drugą półkulę.

ROZANDA: Kiedyż słyszano dziwniejsze koleje;
Lecz jeśli mię wzrok nie myli,
Wyobraźnią, o pół mili,
W trwożliwym świetle, które półmrok sieje,
Zdaje mi się, że dostrzegam
Jakiś gmach...

TRĄBA: Żądzą wybiegam,
Chciwie kształt łowię pośród nocy kirów.

ROZANDA: Rodzi się twardy, wśród nagich porfirów,
Posępny zamek — szaniec gwałciciela.
Tak niski, że się w słońce spojrzeć nie ośmiela,
A tak twarda i ponura
Murowańca budowa i architektura,
Że się zdaje, u podnóża
Tych skał, pośród uroczyska,
Gdzie się oko zór rozchmurza,
Niby kamienna bryła — odłam rumowiska.

TRĄBA: Więc chodźmy, przyspieszmy kroku.
I cóż nam, Pani, tylko po widoku.
Lepiej, nim nas głód przycisnie,
Mieszkańcy grodu niech wspaniało myślą
Przyjmą nas w gości.

ROZANDA: Otwarte wierzeje,
A raczej groźna paszcza, — pustką wieje.
Z jej serca płynie noc, wszczęta gdzieś z wnętrza,
A mrok wokoło się spiętrza...

(Z wieży słychać brzęk kajdan).

TRĄBA: Co słyszę, przebóg, o Gwiazdo Zbawienia!

ROZANDA: Jestem jak posąg z lodu i płomienia...

TRĄBA: Brzęk kajdan zgrzyta od dźwierzy...
Niech mnie zabiją, jeśli to nie zbrodniarz w wieży!
Mój strach mi to podpowiada,

SCENA II

Ciż. Legismundo (w wieży)

LEGISMUNDO: O doloż moja nieszczęsna! O biada!

ROZANDA: Żałosna skarga narzeka...
Nowych udręczeń bladość mię powleka,

TRĄBA: Mnie nowe chwytają trwogi.

ROZANDA: Trąbo...

TRĄBA: Pani... za pas nogi...

ROZANDA: Zprzed onej wieży zakłetej..

TRĄBA: Nie mam sił.. ścierpły mi pięty...
Uciekać nie starczy ducha,

ROZANDA: Czy z pod skał czarnych rańtucha
Ta odrobina światelka
Nie jest znikomym wyziewem,
Latarką w ręku karzełka,
Co migoce pod powiewem?
Błądą gwiazdą, co w omdleniach

W drżących skłonach, pochyleniach,
Tylko mrok zwiększa — w zadumaniu gniewnem
Tej posępnej siedziby — swem światłem niepewnem,
Tak! — bo przy jego odbłyску
Dostrzegam (choć z daleka)
Więzienie — twierdzą ucisku,
Mogię trupa — człowieka.
A co zdumiewa najwięcej:
Kształt ludzki, w skórze zwierzęcej.
W łańcuchu legł — wkoło cisza,
A on jedno światelko ma za towarzysza.
— Skoro uciec nie zdołamy,
(Bo któż w noc naraża zdrowie)
Słuchajmy jego nieszczęść z pod tej czarnej bramy.
I dowiedzmy się, co powie,



S. BOROWSKA.

KATARZYNA OD GĘSI

Feluce...

Klasztor był stary, zbudowany przed trzystu laty dla zakonu, który sprowadziła z Francji jedna z polskich królowych.

Zadaniem klasztoru—od najdawniejszych czasów jego istnienia w kraju—było wychowywanie panien z t. zw. „dobrych rodzin.“

Zakres nauki w pensjonacie, chociaż niedociągnięty do programu rządowych szkół średnich, obejmował obszerny kurs języków nowoczesnych, literatury i historii; bogobojne zaś wychowawczynie dbały wielce o dobre maniere i rozwój duchowy swoich pupilek.

Klasztor był ogromny, zbudowany w czworobok, okratowany we wszystkich oknach, otoczony wielkim, starym ogrodem i murem, sięgającym do wysokości trzeciego piętra sąsiadujących z nim kamienic.

Wielkie, ciężkie, żelazne podwoje,—t. zw. furta,—odgradzały go od świata. Na ścianach korytarzy, w rytmicznych odstępach, widniały obrazy świętych i malowane medaljony z napisami, zaczerpniętymi z ewangelji, książki o „Naśladowaniu“ lub „Pieśni nad Pieśniami“.

Gdy zdarzało się czasami, że mężczyzna jaki,—w postaci zduna, lub kominiarza—wchodził do klasztoru, to zaraz u progu siostra-furtjanka przypinała mu dzwonek do ubrania, aby tak dzwoniąc przy każdym stąpieniu, zawiadamiał całe zgromadzenie zakonne, a zwłaszcza siostrzyczki, któreby mogły trafem stanąć na jego drodze, że oto osoba płci odmiennej znajduje się chwilowo w obrębie klauzury, i że nale-

ży unikać spotkania z nią, uchodząc w kierunku przeciwnym,

Klasztor miał wiele tajemnic i legend, tradycy i zwyczajów. Był sam w sobie zamkniętym i zorganizowanym światem, połączonym tylko znikomymi niemi ze światem prawdziwym, lub może właśnie — nieprawdziwym,—tym, z za furty.

Za furta, na tamtym świecie, mogły szaleć burze i wybuchać rewolucje,—w klasztorze była cisza. Jak przed trzystu laty, tak i w początkach 20-go stulecia zacne mniszeczki na rekreacji zakonnej klaskały co pewien czas w dłonie i kolejno,—jak było przewidziane klasztorną regułą,—wygłaszały:

— Moje siostry! przypominam waszym miłościom obecność Boską.. Mówię, czegom się nauczyła, co rzecze nasz święty fundator: „Bramą do raju jest Serce Jezusa...“

Tekst przytoczony, jako wyjątek z pobożnej lektury, zmieniał się, stosownie do woli, pamięci i gorliwości dyżurującej; ale pozatem nic się nie zmieniło.

Dla Dory Śliwickiej, ucz. kl. 4-ej, klasztor był przedmiotem poważnej rozterki duchowej. Nie dlatego, by jej było źle w tych murach. Przeciwnie, kochała je bardzo; ale nie mogła pogodzić świata i klasztoru, lub raczej tych dwóch światów, o założeniach, celach i zwyczajach zasadniczo różnych.

Mniejsza o to, że na świecie mężczyźni chodzili i biegali bez dzwonek, nikt się nie przejmował ich widokiem, a wszystkim obojętnym było, czy komi-

niarz jest, lub nie jest osobą płci odmiennej. Mniejsza o to, że przed przełożoną przyklekało się na jedno kolano, a tatuś i mamusia nie wymagali takiej etykiety.

W klasztorze królował Pan Jezus. Patrzył ze ścian, ze statuetek i krucyfiksów, panował we wszystkich sercach. Życie i zbawienie wieczne było głównym zadaniem i celem. Każdy napis w medaljonie, malowanym na ścianie, był wezwaniem do dalekiej i nużącej drogi, był kategorycznym nakazem. Panu Jezusowi trzeba było ofiarowywać wszystko: smutki, radości, nawet przyjemność, jakiej się doświadczało przy chrupaniu kawałka czekolady. To było słusznem.

Na świecie zaś ludzie krzatali się i frasowali „około bardzo wiele“, aczkolwiek wiadomem było z ewangelji, że „jednego tylko potrzeba.“ O Panu Jezusie nikt nie myślał. Mieszkał On samotnie w kościele, a Dora, pochłonięta wirem wakacyjnych przyjemności, zapominała ustawicznie o Jego obecności; jeździła konno, kłóciła się o byle co z braćmi i czytała ukradkiem niedozwolone romanse.

To też, gdy po powrocie do klasztoru z obrazu wiszącego naprzeciw furty, spojrzały na nią boskie, smutne, łaskawe oczy Jezusa, Dora popadała w okropne przygnębienie i wąpiła o zbawieniu swej lekkomyślnej, całkowicie do ziemi należącej duszy.

Te smutki i depresje nie uchodziły nigdy bacznyim oczom Siostry Mistrzynie, która brała dziewczynkę „na rozmówkę“ i, nic nie wskórawszy ogniem krzyżowych pytań, wołała, potrząsając głową:

— Doro, Doro! ty masz w sobie niemego diabła, o którym mówią, że jest najgorszy ze wszystkich siedmiu!

Poczem dodawała zwykle już łagodniej, widząc konsternację swej wychowanki:

— Moje dziecko, strzeż się wyobraźni, strzeż się wyobraźni...“

To było właśnie najtrudniejsze, bo w klasztorze wszystko działało na wyobraźnię. Tyle było rzeczy tajemniczych i dziwnych. Czasem dzwony same dzwoniły, czasem po grabowej alei chodziła wysoka, samotna postać; a gdy która z sióstr miała umrzeć, to już na parę tygodni przed tem stukowało coś w nocny do wszystkich cel, jakby tajemnicza jakaś osobistość obiegała klasztor z żałobną currendą.

Największą zagadką jednak była istota z krwi i ciała, istota, której imienia nie wymawiały nigdy zakonnice, a która przecież egzystowała: bywała w kaplicy na nabożeństwach, przystępowała do komunji zaraz po siostrach, a przed osobami świeckimi i pensjonatem — Katarzyna od gęsi...

Poza kaplicą widywano ją tylko na wiosnę i w lecie, do wakacji: siadywała na końcu ogrodu, nad stawami, zarośniętymi rzęsą i trzcina, i pasła stada żółtych klasztornych gąsiąt. Cały ogród tonął w słońcu i kwieciu drzew owocowych. Katarzyna siedziała na niskim zydelku, w czarnej chusteczce na głowie, w czarnej, watowanej, żebraczej pelerynce; ani młoda, ani stara, żółta, zmięta, z zieloną gałązką w ręku do zapędzania gęsi, z oczami utkwionymi w ziemi.

Na twarzy jej wychudzonej leżał grymas, jakby ustawicznego bólu. Zdawało się, że o brzegi jej wstrętnej, żebraczej pelerynki, — niby o twardego pancerz, odbijają się wszystkie fale wiosny i życia, nie dochodząc wcale do serca.

Mówiono o niej, że jest czarownicą i że ma stosunki z diabłem, ale mówiono to sobie po cichu, niepewnie, bo nic zgoła nie wiadano.

Niektóre siostry, zapytywane przez śmielsze uczennice, odpowiadały zwykle:

— Nie wiem, o kim mówisz, moje dziecko... — lub poprostu:

— Zapytaj siostry mistrzyni. — Któżby zaś pytać śmiało o cokolwiek siostry mistrzyni, płynącej z grandezją wielkiej damy, — pięknej kobiety i surowej, acz bardzo kochanej mentorki, — przez korytarze klasztorne.

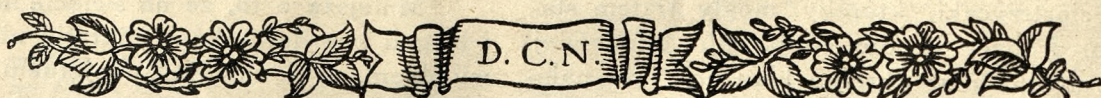
Dookoła zagadkowej postaci Katarzyny od gęsi owijały się tak długo myśli Dory, że uchylono przed nią wreszcie rąbka tajemnicy. Uczyniła to przyjaciółka Dory, rezolutna Stacha Wielowiejska, której matka, spokrewniona z przełożoną, posiadała wiele wiadomości o dziejach zgromadzenia i zakonnic, a chcąc ukrócić „niezdrową ciekawość“ swej córki, wyjawiała jej prawdę o Katarzynie.

Okazało się, że Katarzyna była zakonnica i poniekąd dymisjonowaną świętą.

Przed laty 25-ciu, jako śliczna, młodziutka panienka, zakochała się w człowieku, który został z czasem jej ojczymem. Nie mogąc zaakceptować tego stanu rzeczy, zapragnęła zostać zakonnica i groźbami różnych ekscesów, — do samobójstwa włącznie, — wymogła na matce pozwolenie wstąpienia do klasztoru.

Rzuciła się w życie zakonne, jak w odmet. W przeciągu 3 lat odbyła nowicjat i próbę i w dniu ukończenia lat 21 złożyła śluby zakonne.

Klasztor cały podziwiał, jak szybko wznosiła się młodziutka siostra Katarzyna-Imelda na stopnie coraz wyższe uduchowania i oderwania od ziemi. Niezwykły talent muzyczny, który całkowicie oddała na chwałę swego mistycznego Oblubieńca, znaczył ją stygmatem wybrania.



W. MIŁASZEWSKA

11

KACZĘTA

(powieść)

15 sierpnia.

Adelcia pojechała znów do Kopytowa. Musiałam na gwałt prasować najstrojniejszą sukienkę, tę różową z falbankami, bo Adelcia powiada, że jej najlepiej do twarzy, a na ten wieczorek tańczący cała okolica podobno miała się zjechać.

Marek nie wychodzi z domu, bo się wstydzi swojej owiązanej głowy, tylko na opatrunek rano jeździ dorożką do szpitala. Dziś pierwszy raz z nim byłam, żeby zobaczyć, jakie to te rany.

Kiedy mu doktor bandaże odwinął, myślałam, że krzyknę. Włosy nad prawem uchem wygolone do cna, a na głowie szrama czerwona, długa, jak palec. Prócz tego dwa sińce na czole i policzek zadrapany, ale doktor powiada, że z tego nie będzie ani znaku za kilka tygodni.

Jak to nieszczęście czyha na każdym kroku, a człowiek ani się spodziewa! Ot, mógł ten kamień drasnąć go o cal wyżej, i byłoby po oku.

Marek całymi dniami teraz w moim pokoju siedzi przy oknie i rysuje — powiada, że światło najlepsze. Niech sobie rysuje, biedaczek. Już i tak niedługo tych wakacji, a jak się zacznie szkoła...

Biedny Marek! Aż się cały na to wspomnienie otrząsa.

Wczoraj wieczorem, jakem przyszła zapędzić go do łóżka, pokazał mi cały stos rozmaitych swoich rysunków. Czego tam nie było! Ptactwo domowe, dom kopytowski z boku, z przodu, od tyłu, czarny i kolorowy, nawet taki kolorowy, że aż się nadziwić nie mogłam.

Mówię do Marka:

— Bardzo mi się podoba, ale czemu to ściany takie niebieskie, kiedy pamiętam, że dom wymalowany na białą, bo go ostatnim razem przy mnie odnawiali.

— Bo, widzi ciocia, malowałem dom w słońcu.

— W słońcu—powiadam—czy nie w słońcu, koloru przecie ściany nie zmieniły, a jeszcze na niebiesko. Niebo jest niebieskie i woda, ale domu nie widziałam.

— Aha, ciocia powiada, że woda jest niebieska? A kiedy woda jest bez koloru, moja ciociu.

Zbił mi nieco z tropu.

— Bo to niebo się w niej odbija, jak w lustrze—odrzekłam.

Marek się uśmiechnął i nagle zawołał:

— Niech ciocia wyjrzy przez okno, prędko, moja ciociu!

Wysuwam głowę, patrzę: nic, ulica, jak zwykle, a po niej ludzie chodzą.

— Cóż takiego — pytam Marka.

— Niechno ciocia popatrzy na tę panienkę w białej bluzce, widzi ją ciocia?

— Widzę. Więc co?

— Niech się ciocia dobrze przypatrzy — jakiego koloru jest ta bluzka?

— No... biała przecież.

A na to Marek:

— Ależ, ciociu, ona jest zupełnie niebieska, niech się ciocia uważnie przypatrzy, o, biała bluzka w załamaniach jest zupełnie niebieska, taka, jak niebo.

Panienka zniknęła nam z oczu na zakręcie, a ja powiadam do Marka:

— Nic podobnego nie widziałam, moje dziecko. Ubrdało ci się i tyle. A to, coś mi pokazał, to był cień i tyle...

Dopiero Marek się ze mnie zacznie śmiać, jak szalony. Potem, gdy się już dosyć naśmiał, uściskał mnie na przeprosiny, mówiąc:

— Niech ciocia wybaczy, ale... ale ciocia to nie ma prymitywnego poczucia w malarstwie.

Trochę mi było przykro i powiedziałam Markowi z lekką urazą:

— Może być, że jakiegoś prymitywnego poczucia nie mam, ale mam jeszcze zdrowe oczy i kolory wyraźnie widzę, Bogu dzięki.

Pierwszy to raz Marek śmiał się ze mnie i dlatego było mi bardzo niemile. Już to obecne dzieci wszystkie rozumy pojadyły. Wszystko wiedzą, co i jak. Zupełnie, jakby przedtem nie było na świecie ani obrazów, ani książek i jakby one dopiero odkryły ich istnienie.

A przecież za mojego jeszcze dzieciństwa żył Matejko, największy malarz polski, a przedtem, dużo przedtem byli ciągle rozmaici słynni artyści, jak na przykład ten Rafael, którego Matka Boska z Dzieciątkiem wisi nad moim łóżkiem w dębowej ramce.

Ja się tam na obrazach nie znam, ale znowu nie powiem, żeby tak nic zupełnie. Zawsze poznam, co jest namalowane, żeby tylko było namalowane prawdziwie, z podobieństwem. Takich obrazów, co to nawet niewiadomo, jak je wieszac—bo i sam malarz pomylić się może, gdzie góra, a gdzie dół—to ja zupełnie nie pochwalam.

Pani Klimaszewska miała dalekiego kuzyna, malarza. Kazała mu się sportretować (mieszkał u nich za to przez cztery tygodnie i tłusto jadał). To jakem

spojrzała później na ten obraz, omało śmiechem nie parsknęłam. Włosy jej zrobił granatowe, (ona była silną brunetką), a policzki, jakby kto burakiem posmarował,

Patrzę, patrzę, a pani Klimaszewska do mnie:
— I cóż pani na to, moja panno Justyno?

Bąknęłam coś piąte przez dziesiąte pod nosem, a pani Klimaszewska prosto z mostu powiada:

— Dawniej, jak się malarz podjął portret zrobić, to wszystko było na miejscu i takie, że dzieckoby poznało. Nie to nawet, moja pani! Był u pierwszego mego męża (świeć Panie nad jego duszą, nazywał się Jacuński) obraz duży, olejny, przedstawiający przekupkę z koszem śledzi. Temat nie bardzo, ale jak te śledzie namalowane były! Miałam wtedy kota... To, powiadam pani, kot godzinami przed tym obrazem wysiadywał i oblizywał pyszczek. Tak wyglądały te śledzie, jak żywe.

Spojrzała znowu na obraz i, westchnąwszy, ciągnęła dalej:

— Teraz się lada pacykarz do portretów bierze, a jakie to zarozumiałe! Temu chłystkowi, mojemu kuzynowi, powiedziałam tylko, i to bardzo delikatnie: „pochlebiam sobie, że taką maskarą nie jestem“, a on się obraził z punktu i nagadał mi zaraz, że jestem filisterka, czy jak tam, że mam pojęcia ciasne, że się na sztuce nie znam, a głos chcę zabierać. Tak, moja pani... Kiedyś mi Klimaszewski (świeć Panie nad jego duszą) przyjemność chciał zrobić na gwiazdkę i kazał z fotografii portret odmalować. Ani razu nie pozowałam nawet, a tamten i podobieństwo uchwycił i powiadam pani, koronkę przy sukni tak odrobił, że można było nosem po obrazie wodzić, a jeszczeby nie wiedział człowiek, że to malowidło. Kołnierz miałam spięty broszką, to on mi w tę broszkę perlę taką wstawił, że za nią chyba pół Warszawy dostaćby można. To wszystko kosztowało raptem 25 rubli, a portret na wsi wisi dotychczas i wszyscy się nim zachwycają. Tak, moja pani, dawniej wszystko było tańsze i w dobrym gatunku: jak kupiłeś funt mąki, to był funt mąki, a nie pół funta gipsu i pół otrębów. Jak kazałeś zrobić portret, to był portret, a nie jakaś maskara na płótnie rozplabzdrana...

Bardzo się Klimaszewska przejęła swoją przemową, bo aż oddech straciła i sapała z dobrą minutę. Teraz już wiem, że to było nie bez kozery: malarz, którego przez cztery tygodnie trzymała z wiktem i opierunkiem, głupstw jej nagadał, a jak mu dom wymówiła, to razem z nim ulotnił się bardzo ładny, brązowy zegar z konsolki.

Tacy to teraz ludzie, ale ci malarze, to już chyba największa hołota, bo dla nich kradzież, to na-

wet żaden wstyd, ani grzech, i jawnie się do tego przyznają.

Byłam kiedyś z Markiem na wystawie i słyszałam na własne uszy, jak jeden peleryniarz mówił do drugiego.

— Tobym, psiakrew, świsnął!

Strasznym oni językiem mówią. Co minuta jakieś grubijańskie słowo z ust wypadnie.

I pomyśleć, że Mareczek chce być takim samym malarzem i może gotów także kłać, pić wódkę i zegarki z cudzych domów wynosić..

Nie, już mój Marek taki nie będzie, choćby i został tym malarzem.

28 Sierpnia.

Słyszane rzeczy! Słyszane rzeczy!

Jeszcze się cała z oburzenia trzęsę, nietyle nawet na Tomka, co na Teofila.

Tomasz młody, nie dziw, że pomysły się głowy czepiają, ale Teofil, rozsądny człowiek i starszy!

Już ja, coprawda, nic a nic nie rozumiem, jakie oni tam kalkulacje prowadzą.

Dziś, po obiedzie (zbierałam właśnie filiżanki po tej czarnej kawie, co ją teraz chłopcy raz po raz popijają) aż tu Tomasz podchodzi do mnie, w rękę mnie cmok i powiada:

— Moja ciociu... Żeby ciocia znalazła trochę czasu i pomogła mi rzeczy przebrać, bo ja się za tydzień wyprowadzam.

Uszom nie chciałam wierzyć.

— Co takiego?

— Wyprowadzam się.

— Skąd?

— Z domu, no, z domu się wyprowadzam. Do innego mieszkania, rozumie ciocia?

Naturalnie, nie mogłam nie zrozumieć, jak mi tak dokumentnie słowo po słowie powtórzył. Więc powiadam:

— Tak?

A Tomasz na to:

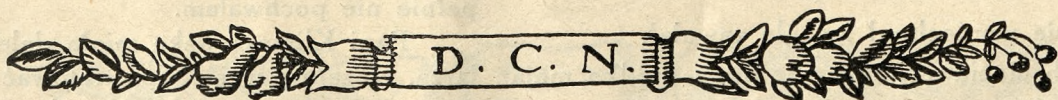
— Mieszkanie mam już najęte i zaraz po pierwszym rzeczy przewiozę.

— Cóż to — mówię — żenisz się chyba, że ci osobne mieszkanie potrzebne?

On się na to uśmiechnął pod tym swoim małym wąsikiem.

— A kto wie, ciociu, kto wie.. może się i ożenię. Ale to jeszcze nie tak zaraz,

Dopiero mi przez głowę przemknęło... Jezus Marja... pewnie się Tomek ożeni z tą... A Teofil może nic nie wie!



ANNIE BESANT O KOBIECIE HINDUSKIEJ

(Wywiad specjalny „Bluszczy“)

Korzystając z konferencji, zorganizowanej przez Polskie Tow. Teozoficzne dla prasy, zwróciłam się do dr. Annie Besant z zapytaniem, jakie jest jej zdanie o rozwoju kobiety współczesnej.

— Najwięcej powiedzieć mogę o Indjach, gdyż najwięcej tam przebywałam,—odpowiada p. Besant.—Kobiety hinduskie biorą obecnie udział w życiu społecznym i politycznym. Od czasu przyznania Indjom autonomji przez Anglję, utworzenia ministerstw, rady narodowej i prawodawczej—wszędzie wybierane są kobiety. Otwarto im także dostęp do szkół i uniwersytetów. Co poszło tam łatwiej, że Indje nie posiadały wcale prawa pisanego. Prawo było tam wyłącznie obyczajowe; z chwilą więc większego wpływu cywilizacji zachodniej, gdy kobieta zechciała kształcić się i wyjść na arenę publiczną, nie potrzeba było zmieniać ustawodawstwa, jak w krajach europejskich. Dziś kobiety hinduskie mają daleko szersze prawa od angielskich, np. Wogóle to, co się mówi w Europie o poniżeniu kobiet w Indjach, jest przesadą. W prowincjach, które nie podlegały mahometanizmowi, stanowisko kobiety nigdy nie było poniżające. Obyczaj palenia się wdów na stosach po śmierci mężów był okrutny, ale był to obyczaj religijny, który kobiety same uważały za poświęcenie, dla nich zaszczytne. Obecnie obyczaj ten został zniesiony. Pozatem zaś żona i matka otaczane były zawsze czcią i szacunkiem. Kobieta nazywana była „światłem domu“. Jej rola i znaczenie w rodzinie i społeczeństwie są bardzo wielkie.

Tylko hindusi zapatrują się inaczej na to, co my nazywamy równouprawnieniem. Dla nich równouprawnienie nie polega na tem, aby kobieta działalnością swą dorównała mężczyźnie, aby robiła to samo, co on. Wprost przeciwnie. Chodzi o to, aby kobieta mogła kształcić się, posiadać swobodę i prawo do pełnego rozwoju swych właściwych, odrębnych cech tak, aby działalność obu płci uzupełniała się wzajemnie, aby mężczyzna i kobieta pracowali każde w swoim zakresie. Wypływa to wprost z pojęć religijnych hindusów, którzy nawet bóstwo pojmują jako ojca i matkę ludzkości. To też kobiety wybierają przeważnie zadania wychowania i opieki społecznej. Są np. sędziami dla przestępców nieletnich. Wychodzi się tu z założenia, że instynkt macierzyński jest najlepszym doradcą kobiety-sędziego, a dzieci zbłąkane łatwiej poddają się wpływowi kobiety, nie obawiając się jej tak, jak mężczyzny; przyznają się szczerze do przestępstwa i dają się wprowadzić na drogę poprawy.

— W odradzających się Indjach kobieta zajmuje miejsce równe mężczyźnie, a pracuje w kierunku swoich właściwych uzdolnień“.

Temi słowy określiła dr. Besant stanowisko i aspiracje kobiet w tem prastarem społeczeństwie, które jest kolebką cywilizacji, a które obecnie powstaje do nowego życia. Nie wspomniała tylko, ile w tym ruchu wolnościowym Indji jest jej własnej zasługi i olbrzymiej pracy.

Wieczorem w sali Tow. Higjenicznego odbył się odczyt dr. Besant: „Teozofja w życiu narodów“. Z największym podziwem patrzyło audytorjum na prelegentkę. Ta starszka ośmdziesięcioletnia mówiła przez dwie godziny pełnym, silnym głosem, z młodzieńczym zapałem, wyjaśniając istotę i cele kierunku teozoficznego.

Podług teozofów, każdy naród jest jakby częścią Bożego prawa, mającą do spełnienia swoje zadanie; wypełnić je zaś może tylko wtedy, gdy jest wolny — przynosi wtenczas swój dorobek do ogólnego rozwoju ludzkości. Teozofja opiera się na zasadzie tolerancji w stosunku do wszystkich religij; dążeniem jej jest braterstwo wszechludzkie, łagodzenie konfliktów religijnych i rasowych.

Na tym to gruncie pracują teozofowie w Indjach, przeciwstawiając się dążeniom tych europejczyków, którzy w rasach innych widzą jedynie materiał do eksploatacji, nie uznając w nich człowieka i jego praw.

Prelegentka zatrzymała się dłużej nad teozoficzną teorią wychowania, podług której dzieli się ono na trzy okresy: pierwszy—dzieci do lat 7-miu, w którym zwracać należy największą uwagę na zdrowy rozwój organizmu, gdyż jest to okres, kiedy założyć trzeba podwaliny zdrowia fizycznego; drugi—do lat 14-tu — pierwszego kształcenia i rozwijania w duchu narodowym; trzeci okres—do lat 21 — pełnego kształcenia i rozwoju w duchu ogólnoludzkiem.

Zakończenie odczytu poświęciła dr. Besant idei powszechnego braterstwa, życząc odrodzonej Polsce, aby nigdy nie znalazła się w potrzebie sprzeciwienia się temu ideałowi.

Szkoda tylko, że sędziwa działaczka nie została dokładniej poinformowana o naszej kulturze i wielkich wytycznych naszej literatury romantycznej; o ideałach Mickiewicza i Słowackiego, o polskim mesjanizmie. Uległa wskutek tego ogólnej tendencji większości obcych prelegentów, odwiedzających Polskę: — odczyt był zbyt popularny. Jest to wielka szkoda, gdyż audytorjum byłoby więcej skorzystało z mniej elementarnego ujęcia konferencji.

N. J.

Kobieta w świecie i w domu

DZIELNA EKSPŁORATORKA

Pani Leonja Star, żona lekarza z Colombo, jest pierwszą europejką, która przebyła puszcę Siamską i Birmańską.

Siam i Birma na niektórych przestrzeniach pokryte są nieprzebytą puszcą, obfitującą w dzikie zwierzęta i zamieszkałą przez mało znane plemiona. Odważna podróżniczka prawie całą podróż odbyła pieszo, w towarzystwie kilku tubylców. Cały bagaż jej był ograniczony do minimum; za pożywienie służyły jej tylko owoce i konserwy.

Pani Star przebyła w ten sposób przeszło 300 mil, poznając po drodze okolice, najmniej odwiedzane na kuli ziemskiej.

Po pełnej niezliczonych przygód podróży pani Star przywędrowała do Bangkok, gdzie została przyjęta owacyjnie przez miejscową kolonię europejską.

Wyprawa jej tem bardziej godna jest podziwu, że śmiała eksploratorka nie jest osobą młodą, liczy bowiem przeszło pięćdziesiąt lat.

Pani Star przywiozła ze sobą liczne ciekawe okazy fauny i flory nieznanych puszcz Siamskich.

R. C. H.



Wzajemne gratulacje zwycięzców zawodów strzeleckich w parku Skaryszewskim: kapitana Wąsowicza i panny Zajączkowskiej

ZWIĄZEK ROZWODNIKÓW

Oczywiście, związek taki utworzony został w Ameryce, tym klasycznym dziś kraju rozwodów. Siedzibą jego jest Chicago, gdzie, według statystyki, rocznie rozwodzi się przeszło 15.000 par.

Widocznie w Ameryce stroną, winną rozejścia się małżonków, bywa przeważnie mężczyzna, skoro wyroki w tych sprawach zwykle bywają tam korzystne dla żon, gdyż prawie zawsze są im przyśądzone dość znaczne alimenty.

Taki stan rzeczy uprzykrzył się wreszcie rozwiedzionym mężom i niedawno założyli „The League of divorced husbands” — ligę rozwiedzionych małżonków.

Związek ten, między innymi, ma na celu uzyskać zniesienie prawa o wypłacaniu alimentów. Na usprawiedliwienie swoje związkowcy dowodzą, że wiele kobiet w Ameryce poczęło uprawiać rozwód „fachowo”, pobierając jednocześnie po kilka rent od swoich ex-mężów, co umożliwia im prowadzenie zbytkownego życia, kosztem ciężko pracujących, a wielce naiwnych rozwodników.

R. C. H.

ZAZDROSNE WIEŚNIACZKI

Pisma austrajckie opowiadają o niezwyklej przygodzie, która wydarzyła się grupie młodych i ładnych wiedeńskich, przebywających podczas lata w małym uzdrowisku kąpielowem Radek.

Urocz letniczki nie wiedziały, co zrobić z czasem, i dla rozrywki każdego popołudnia udawały się na spacer do małej, malowniczej wioski San Peter, oddalonej o dwa kilometry od Radka.

Spacerowi temu płochy kobietyki nadawały pewien posmak pikanterji, gdyż udawały się w drogę przybrane nieodmiennie tylko w króciutkie i mocno dekoltowane kostiumy kąpielowe. Nic dziwnego, że tego rodzaju stroje budziły sensację i... admirację całej męskiej ludności San Peter. Starzy i młodzi każdego popołudnia zaczęli się cisnąć na drodze, ponętnie, choć nie dość solidnie, ubranych dam.

Miejscowe wieśniaczki nie posiadały się z zazdrości i po kilku bezskutecznych napomnieniach swoich mężów i narzeczonych, same przystąpiły do działania.

Pewnej niedzieli, uzbrojone w długie łodygi pokrzywy, stanęły na posterunku w małym lasku, tuż u wejścia do wioski.

Gdy tylko ukazały się letniczki, wydekoltowane, jak zwykle, od góry i od dołu, zazdrosne wieśniaczki rzuciły się na nie hurmem, zasypując je piekącym deszczem chłosty pokrzywianej. Biły, gdzie popadło, pokrzykując zawzięcie: masz za Karla! masz za Rudolfa! masz za Franzal..

Na krzyk tak sromotnie chłostanych ofiar, cały element męski z galanterją pośpieszył na ratunek. Niemało jednak czasu upłynęło, zanim udało się rozbroić rozjuszone niewiasty.

Nazajutrz, poparzone dotkliwie wiedenki opuściły niewdzięczną okolicę, gdzie, jak widać, kobiety nie dają sobie pluć w kaszę.

R. C. H.

SZKOŁA SPRZEDAWCZYŃ SKLEPOWYCH

Minęły już te czasy, gdy sądzono, że istnieją profesje, którym można się poświęcić bez uprzedniego fachowego przygotowania. Obecnie, w miarę zwiększonych wymagań ze strony publiczności, i coraz to bardziej wzmożonej konkurencji sił wykwalifikowanych fachowo, ten tylko może liczyć na powodzenie w swym zawodzie, kto się do niego odpowiednio i sumiennie przygotowuje.

Doniedawna nap. zdawało się, że do obowiązków sprzedawcy sklepowego należy głównie znajomość cen i uprzejmość względem klienta, a tymczasem jest to cała skomplikowana nauka. W ubiegłym miesiącu w Londynie została otwarta szkoła dla sprzedawczyń sklepowych. Posłuchajmy, czego tam uczą młode adeptki Merkurego.

Przyszła sprzedawczyni winna posiadać pewne podstawy nauki o psychologii, któreby jej pomogły zorientować się, czy klientka może wydać dużo pieniędzy, i czy należy namawiać ją do kupna rzeczy praktycznych, czy też luksusowych. Szkoła sprzedawczyń kładzie nacisk na głos i wymowę swoich wychowanek; uczy je dobrej i wyraźnej dykcji i modulacji tonu, który, stosownie do okoliczności, ma być raz słodki i przypochlebny, jużto poufały.

Aby sprzedawać materiały, kapelusze i suknie, należy wiedzieć teoretycznie, co będzie odpowiednie do danego typu kobiety, przyjmując pod uwagę jej wzrost, figurę, kolor włosów i rodzaj cery.

Wiadomości powyższe są wykładane zapomocą obrazów, demonstrujących rozmaite typy urody kobiecej: brunetki, blondynki,

rude, siwe, wysokie, niskie i t. p. Pod każdym obrazem widnieje napis: w jaki sposób należy ubrać tę kobietę? Jakie kolory będą dla niej odpowiednie? Jaki rodzaj ubrania byłby dla niej najkorzystniejszy? i t. p.

Uczennice szkoły sprzedawczyń uczone są zręcznych ruchów i zgrabnego sposobu chodzenia, szybkiego odmierzenia materiałów, nakładania klientkom obuwia, rękawiczek. Jako ważny szczegół należy jeszcze zanotować, że zapomocą specjalnych ćwiczeń jest im wykładana umiejętność opanowania się i nie tracenia cierpliwości wobec zbyt kapryśnych i wymagających klientów.

Tak przygotowana sprzedawczyni będzie zawsze doskonałym nabytkiem dla firmy i nieocenioną doradczynią dla pań kupujących.

R. C. H.

KOBIETA, KTÓRA UMIE UŻYWAĆ SWYCH BOGACTW

Jeżeli nie najoryginalniejszą kobietą, to w każdym razie najoryginalniejszą miliarderką jest jedyna córka J. Pierpont Morgana — Anna Morgan.

Jedna z najbogatszych kobiet w Ameryce nie wyszła za mąż, poświęcając się całą siłą swego bogatego temperamentu pracy społecznej.

Przed wojną jeszcze była inicjatorką każdego większego przedsięwzięcia kulturalnego i społecznego: — szkoły, szpitale, ogniska i kluby robotnicze powstawały, zakładane na wielką skalę, gdyż miss Morgan umiała znaleźć potrzebne na nie sumy nie tylko u ojca, ale u każdego zamożnego człowieka, którego upatrzyła sobie, jako pomocnika w swej pracy. Największą jednak działalność rozwinęła w czasie wojny we Francji. Zrównany z ziemią departament Aisne czcił ją poprostu, nazywając wróżką z bajki. Miss Morgan prowadziła tam zresztą zupełnie oryginalny tryb życia. W towarzystwie przyjaciółki swej Mary Watkins i wiernego szofera obozowała w gołem polu, często pod ogniem pobliskich placówek niemieckich, niosąc pomoc miejscowej ludności. Z chwilą cofnięcia się Niemców, zainstalowała się w jakimś napół rozwalonym domu, który na pamiątkę wytwornej restauracji paryskiej nazywała żartobliwie „hotelem Ritz“; założyła tam sklep, sprzedając i rozdając wiktuały, wożąc cukier i mąkę, sprowadzając masami odzież, lekarstwa i opatrunki. Sypiała na polowym łożku, a towarzyszką jej miss Watkins opowiada z komiczną zgrozą, że nie mogła uwierzyć sobie samej, aby można było tyle nadźwigać ciężarów i tak pracować, jak pracowały obie z miss Morgan w departamencie Aisne.

Powróciwszy do Ameryki, została miss Morgan przewodniczącą stowarzyszenia kobiet amerykańskich „American Womens Association“ i pierwszą jej myślą było wybudowanie gmachu, odpowiedniego na siedzibę organizacji. Zabrała się do tego, naturalnie, po swojemu. Dom Związku, który stanie w Nowym Jorku przy 57 Avenue, ma kosztować bagatelkę — 7.500.000 dolarów. Pieniądze są już zebrane drogą udziałów; miss Anna sprzedawała je sama i to wcale nie wyłącznie potentatom finansowym. Każdego przeciętnego businessmana potrafiła przekonać, że nie straci swych pieniędzy, co jest zresztą zupełną prawdą, gdyż w Ameryce tego rodzaju przedsięwzięcia rentują doskonale.

Przy całym swym zapale społecznym nie zaniedbuje miss Morgan bynajmniej swej powierzchowności, choć dochodzi już pięćdziesiątki. Nosi fryzurę à la garçonne, ubiera się obecnie z powodu żałoby po matce czarno, przedtem jednak zadziwiała artystyczną oryginalnością swych tualet. Nawet w czasie pobytu w Aisne miała zawsze świeżutki, elegancki kostium, jedwabną bluzkę i białe rękawiczki. Mieszkanie jej w Nowym Jorku jest zaczarowanym pałacem, wypełnionym artystycznymi sprzętami i dziełami sztuki, któremi się z zamiłowaniem otacza.

N. J.

ODZNACZENIA PAŃSTWOWE ZA LICZNE POTOMSTWO

We Francji, gdzie, jak wiadomo, przyrost ludności cofa się w sposób zastraszający, państwo otacza specjalną opieką liczne rodziny.

Po za nagrodami pieniężnymi, umożliwiającymi rodzicom wychowanie licznych potomstwa, w kraju tym niedawno został utworzony jeszcze inny rodzaj nagrody, mianowicie t. zw. „Médaille de la Famille Française“.

Istnieją trzy kategorie takich medali: brązowy — dla matki najmniej pięciorga dzieci, srebrny — za więcej, niż pięcioro, i złoty — za więcej, niż dziesięcioro dzieci.

W roku bieżącym sześć tysięcy matek francuskich zostało nagrodzonych medalami. W kilkumiljonowym Paryżu jedna tylko matka może się poszczycić posiadaniem trzynastorga dzieci, jedna ma ich jedenaścioro i zaledwie kilka po dziesięcioro.

R. C. H.

ZJAZD MIĘDZYKRAJOWEGO ZWIĄZKU KOBIEC KATOLICKICH

W Ischlu odbył się doroczny zjazd zarządu Międzynarodowego Związku stowarzyszeń kobiet katolickich. Związek ten, założony w Brukseli w r. 1910, liczy blisko 20 milionów członkiń we wszystkich krajach Europy, Ameryki północnej i południowej. Zjazd odbył się pod przewodnictwem pani Steenberghe, holenderki, prezeski związku, oraz członka głównego zarządu, a przewodniczącej stowarzyszenia kobiet katolickich w Austrii księżnej Starhemberg.

Delegatki na zjazd przybyły z Anglii, Austrii, Belgii, Danii, Francji, Szwajcarii i Węgier.

Zasadniczym celem, zarówno Związku, jak i poszczególnych stowarzyszeń krajowych, a także każdego zjazdu, jest praca nad zapewnieniem kobiecie równych praw w społeczeństwie i rodzinie, nie odrywając jej od największych i najpierwszych obowiązków — żony i matki. Rozwinięcie i umocnienie właśnie odrębnych cech kobiety i oparcie praw jej na tych cechach, a nie na zrównaniu jej z mężczyzną. Związek nie idzie w swych zamiarach po drodze tak radykalnych reform, jak inne stowarzyszenia, działając w duchu ściśle katolickim, zajmuje się jednak żywo wszystkimi zagadnieniami, które wysuwa życie współczesne.

Trudno jest nieraz bardzo pogodzić te dwa zadania kobiety — pracownicy samodzielnej i kobiety-córki, żony i matki. Członkinie związku jednak mają nadzieję wyprowadzić drogę pośrednią, po której krocząc, kobieta rozwijałaby swą działalność w kierunku tych właśnie swoich specjalnych cech i uzdolnień, nie rywalizując z mężczyzną, lecz współdziałając z nim w rodzinie i społeczeństwie.

Oto kilka tematów dorocznego zjazdu, opracowanych w myśl naczelnych tez związku: „Praca umysłowa kobiet“, „Praca kobiet w przemyśle i rolnictwie“, „Zadania państwowe i społeczne kobiety“, „Wychowanie dzieci i młodzieży“, „Higjena społeczna“ itp.

Związek posiada też sekcję młodzieży, której przewodniczącą jest panna Hemptine.

N. J.



Janina Makowska, uczestniczka zawodów strzeleckich

NAJSTARSZA PASAŻERKA POWIETRZNA



Osiemdziesięciosiedmioletnia pani Marjanna Harnisch odbyła niedawno lot aeroplanem ponad Wiedniem i okolicami w towarzystwie syna swego, dr. Michała Harnischa, austriackiego prezydenta związkowego i jego małżonki.

KOBIETY KANDYDUJĄ DO NIEMIECKIEJ RADY GOSPODARCZEJ

Niemiecki związek stowarzyszeń kobiecych, liczący 73 stowarzyszenia, przedstawiające milion członkiń, zwrócił się do państwowej rady gospodarczej o wzięcie pod uwagę — przy najbliższych wyborach do rady — większej ilości kandydatur kobiecych. Każdy z trzech oddziałów rady powinien być powiększony przynajmniej o trzech członków, którymi powinny zostać kobiety, wybrane z pomiędzy członkiń związku stowarzyszeń. Minister spraw gospodarczych przyrzekł wnioskowi swe całkowite poparcie.

SELMA LAGERLÖF U SIEBIE.

Jeden z dziennikarzy szwedzkich tak opisuje odwiedzinę swe u znakomitej pisarki, laureatki nagrody Nobla:

Selma Lagerlöf mieszka w małej wiosce własnej Marbaka, położonej w północnym zakątku Szwecji, o 12 kilometrów od stacji kolei. Jest to kraj zupełnie patriarchalny i patriarchalne panują tam stosunki. Wieśniacy znają „swoją” Selmę i czczą ją, jak bóstwo, ale nie za jej wszechświatową sławę, lecz za jej wielką dobroć i mądrość, za życzliwość sąsiedzką. — Chcesz odwiedzić Selmę? to siadaj, proszę, na mój wózek; jadę w tamtą stronę. — Temi słowy zaprosił owego dziennikarza na stacji jakiś wieśniak, którego zapytał o drogę do domu wielkiej pisarki.

Dwór w Marbaka, to duże, staroświeckie domostwo; urządzenie wewnętrzne pół klasztorne, pół muzealne. Pokój, w którym pracuje Selma, jest wielką biblioteką, pełną dzieł historycznych i etnograficznych. Oddzielna szafa zapełniona tłumaczeniami prac pisarki we wszystkich językach. Wszędzie widnieje porządek, systematyczność, dziwne u tej wielkiej romantyczki.

Wysoka, szczupła, prawie zupełnie siwa, o jasnych, przenikliwych oczach, ubrana nieco staromodnie, Selma Lagerlöf przyjmuje gości uprzejmie, choć nie ukrywa wcale przekonania, że jest „częścią osobliwości, zwiedzanych przez turystów“.

— Zimą i na wiosnę nie tak łatwo się do nas dostać — mówi z uśmiechem — do końca maja panuje tu tylko mróz i bieda i... legendy! Latem odwiedza mnie dużo ludzi, z których każdy wpisuje się do książki pamiątkowej. Przyjeżdża wielu turystów szwedzkich, więcej cudzoziemców, uczeni, profesorowie; ale najmiłsze, to odwiedzinę młodzieży, wycieczek studenckich i szkolnych z całego kraju. —

Wielka pisarka żyje cała dziejami i życiem swego ludu, Opowiada o losach pierwowzorów swojej nieśmiertelnej sagi

„Gösta Berling“; o ich doli ludzkiej, ich psychice, o legendach i tradycjach ludowych. Selma Lagerlöf nie lubi szerokiego świata: każde wydalenie się poza granice ukochanego zakątka wydaje jej bezcelowem.

— Czy pisarz musi koniecznie znać obce kraje, widzieć naocznie kulturę innych narodów? — pyta z pewnym powątpiewaniem.

Zapewne, że nie jest to konieczne dla tych talentów, które, jak Selma Lagerlöf, są jakby żywym głosem legendy własnej ojczyzny, niepodzielną częścią jej życia, jej obyczaju — jej istoty.

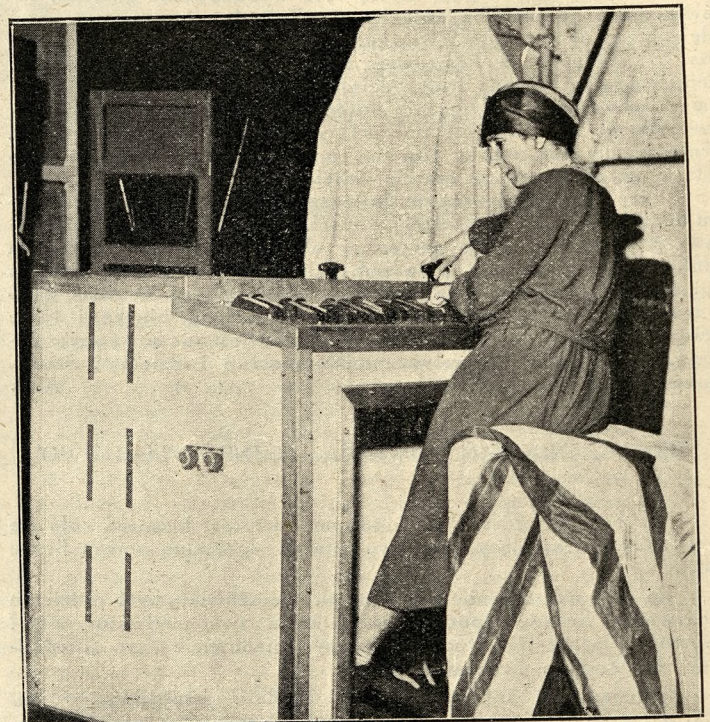
— Aż dwie godziny siedziałeś u Selmy! A cóżes ty tak długo z nią mówić?

Temi słowy powitał powracającego dziennikarza ów wieśniak, sąsiad pisarki, spotkawszy go wychodzącego z jej folwarku.
N. J.

KOBIETY JAKO WYNAŁAZCZYNIĘ

Istnieje oddawna utarta opinia, że umysł kobiecy zdolny jest jedynie do przetwarzania i opracowywania przyswojonych pojęć, nie posiadając zupełnie zdolności wynalazczej. Na argumenty kobiet, że trudno im było odznaczyć się w dziedzinie wynalazków, skoro zaledwie od lat kilkunastu zdobyły równe prawo na polu nauki, — odpowiadano popularnym, a złośliwym żartem, że kobieta miała przecież od wieków do czynienia z garnkami, a nie wpadła, pomimo to, na pomysł teorii o prężności pary!

I w zakresie wynalazków zaczynają się jednak obecnie zmiany na korzyść kobiet. Nie mówiąc już o pani Curie-Skłodowskiej, która, jako jedyny genialny wyjątek, mogłaby tylko potwierdzać regułę, — wystarczy przejrzeć pracowicie zestawioną przez systematyczne Niemki statystykę... patentów na wynalazki. W samem tylko państwie niemieckiem opatentowano w lipcu i sierpniu sześć wynalazków kobiecych, z zakresu mechaniki, gospodarstwa i przemysłu. Nie są to odkrycia, mogące wywołać rewolucję naukową, lub gospodarczą, lecz skromne narzędzia i przedmioty: hamulec samochodowy, plecak, łóżko składane, maszynka do temperowania ołówków etc., niemniej świadczą o zdolności wynalazczej kobiet i o ich intensywnej, samodzielnej zupełnie pracy. Przejrzawszy zaś statystykę ubiegłego roku, widzimy, że ogromna ilość ulepszeń w zakresie techniki gospodarczej, naczyń domowych, przyborów toaletowych, przemysłu krawieckiego, fryzjerskiego i t. d., opatentowana jest, jako pomysły kobiet, i weszła już w szerokie użycie praktyczne.
N. J.



Kobieta jako konstruktorka techniczna
Pani Mary Hallock przy skonstruowanej przez siebie klawiaturze do sygnalów świetlnych

STUDENTKI CHIŃSKIE W PARYŻU

Młoda chinka, panna Szen z Szanghaju, została, — po ukończeniu fakultetu prawa i szkoły nauk politycznych w Paryżu, mianowana prezesem Sądu w Szanghaju. Po jej wyjeździe ze stolicy Francji, przyjaciółka jej, także prawniczka, panna Palang Czang, objęła przewodnictwo stowarzyszenia studentek chińskich we Francji. Jeden z dziennikarzy paryskich odwiedził przy tej okazji p. Palang Czang i w słowach pełnych zachwytu opisuje wywiad z młodą działaczką chińską.

Panna Palang Czang jest w Paryżu od lat sześciu, liczy zaś obecnie 22 rok życia; ukończyła właśnie szkołę nauk politycznych i rozpoczęła praktykę dyplomatyczną w poselstwie chińskim; mówi doskonale kilkoma językami europejskimi, po francusku zaś — jak paryżanka. Byłaby się najchętniej poświęciła karierze handlowej; marzeniem jednak rodziców było widzieć ją na drodze dyplomatycznej; wybrała więc ten zawód, sądząc, że może być w nim pożyteczniejszą rozwojowi sprawy kobiecej w Chinach. Zdaniem p. Palang Czang, nigdzie ruch kobiecy nie rozwinął się tak błyskawicznie szybko, jak w jej ojczyźnie. Jeszcze lat temu 20 dziewczęta chińskie uczone najłatwiejszego alfabetu, (jest ich, jak wiadomo, w języku chińskim kilka) robót domowych, a bardzo bogate — jako nadzwyczajność — muzyki i malarstwa. Obecnie na uniwersytetach chińskich liczne studentki studjują narówni z kolegami. We wszystkich zawodach pracują kobiety, jako prawniczki, lekarki, dziennikarki i urzędniczki; stoją również na czele instytucji przemysłowych i handlowych, wielkich banków i t. p.

Stowarzyszenie studentek chińskich w Paryżu, któremu przewodniczy p. Palang Czang, ma kilkadziesiąt członkiń, zapisanych na różne fakultaty: prawo, filozofję, medycynę, przyrodę; kilka członkiń kończy szkołę nauk politycznych, kilka także wyższą szkołę pielęgniarstwa i akuszerji. Te dzielne, młode pionierki marzą o wprowadzeniu kultury nowoczesnej we wszystkich dziedzinach życia swej ojczyzny, która obecnie przyznała im prawa człowieka. N. J.

STANOWISKO MATKI WEDŁUG KORANU

Koran, Biblia mużułmańska, nakazuje swoim wyznawcom wielką cześć dla matek. Nawet niegodna matka, — głosi on — nie powinna być sądzona przez swoje dzieci. — Szanuj swoją matkę, — powiada Prorok — nawet wówczas, gdyby była bałwochwalczynią. Należy zaznaczyć, że bałwochwalstwo, według Koranu, jest jedynym grzechem, który zamyka drogę do raju.

Niezliczone są „Hadiths“, przykazania, zalecające synom kult i szacunek względem matki.

Pewnego dnia ktoś zapytał Mahometa, dla kogo spośród ludzi winno się żywić najwięcej miłości.

— Dla matki, — brzmiała odpowiedź. — A następnie? — Dla matki. — A jeszcze dalej? — Dla matki. — A jeszcze dalej? — Dla ojca.

Wzruszający sposób określenia świętości powołania matki i przewagi, jaką miłość względem niej winna zajmować wśród wszystkich innych uczuć ludzkich.

R. C. H

MODA KOBIECA A STAHLHELM

Moda krótkich sukienek i podgolonych czuprynek stała się niedawno powodem rozłamu wśród niemieckich prawicowych organizacji politycznych.

Jedna z najpotężniejszych takich organizacji — pruski „Stahlhelm“ — wzrosła ostatnio jeszcze bardziej przez przyłączenie się do niej kobiecego patrijotycznego zrzeszenia „Königin Luise“, liczącego dziesiątki tysięcy członkiń spośród mieszczańskich sfer niemieckich.

Ożywieni pruskim wojskowym duchem, Stahlhelmowcy od początku zrzeszenia się z Ligą kobiecą przystąpili do zaprowadzenia nowego porządku wśród swoich, świeżo pozyskanych towarzyszek, żądając od nich ani mniej, ani więcej, jak... zapuszczenia długich włosów i przydłużenia spódniczek do przepisanej przez nich normy. Żądanie powyższe zostało umotywowane niemożnością spokojnej współpracy z kobietami, ubranymi wyzywająco, sianiem przez nie niemoralności i... wrogich uczuć względem ojczyzny.

Nowe członkinie Stahlhelmu, nie umiejące, dzięki swej kobiecej logice, znaleźć związków między modą, a patrijotyzmem, nie zastosowały się do tego żądania i wołały raczej wystąpić z organizacji, niż podporządkować się takiemu przymusowi. Zresztą niebawem założyły one nowy pokrewny związek pod nazwą „Stowarzyszenie imienia królowej Luizy“.

R. C. H.



TEATR MAŁY

„Fura słomy“, komedia w 3 aktach Zygmunta Kaweckiego, — reżyserja Aleksandra Węgierki, dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Ze fura, to prawda, i to dobrze naładowana fura, ale słoma w niej już wielokrotnie bywała... podściółką. Komedja? nie! raczej groteska. Rzecz napisana z talentem; pałacy problemat życiowy, rozpatrywany jednostronnie, pod kątem krotochwilnym raczej, niż komedjowym. Brzytwa dowcipu, wyostrzona na pasku satyry, tnie bez zarzutu, śmiało i celnie, z rozmachem zawodowego golibrody, który ma uśmiech i werwę Figara, ale któremu brak wykwintu i wdzięku Caillaveta i Flersa, mistrzów salonowej komedji.

„Fura słomy“ to sztuka zajmująca, dowcipna, hałaśliwa i ordynarna. Orgja wakacyjna w saloniku radcy ministerjalnego, zaimprovizowana pod nieobecność jego żony, łącznie z jej i jego przyjaciółmi i przyjaciółkami, — wyreżyserowana była tak, że większość publiczności przez pierwszą połowę pierwszego aktu gubiła się w domysłach, w jakim to właściwie lokalu wywróciła się owa „fura słomy“, i co nam jeszcze pokażą na scenie, na której już niewiele do pokazania pozostało?

Katastrofa z przyjazdem żony zrobiona zupełnie farsowo; natomiast dalszy rozwój wypadków w życiu „mężatki na dwie zmiany“ ma nawet głębszy podkład psychologiczny, umiejętnie wydobyty na jaw przez dwoje świetnych artystów: Miłę Kamińską i Maszyńskiego. Stanowili oni parę, znakomicie zonglującą piłkami sytuacji i serpentynami dialogu, który miał wężową giętkość i polyskliwość, a barwność papuzią. Z umysłu odrzucam inne, mimowolnie nasuwające się określenie: „motylą“ — skrzydła motyle mają subtelny puszek, który doszczętnie został starty, zanim urodziła się „fura słomy“.

W całej sztuce tkwi dziwna, zastanawiająca dysproporcja pomiędzy zręcznością i lekkością dialogu, a ciężkiem, czasem topornem, postawieniem figur. Jakby artysta z Bożej łaski klócił się ciągle na scenie z rzemieślnikiem. I ta wewnętrzna niewspółmierność ujawnia się w podświadomym niesmaku, jakiego doznaje subtelniejszy widz, zanim zda sobie sprawę z przyczyn zjawiska, zanim zrozumie, na czym właściwie polega pewna sztuczność tych ludzkich marjonetek, z których każda ma na sobie krzyczący sztyldzik szarzy charakterystycznej.

Dusze tych ludzi są jaskrawo uszmkowane, jak poliszynelne jarmarczne, a sposób oświetlania sytuacji dziwnie przypomina światopogląd sklepiku, magła i stróżowskiej ciupki pod schodami. Widzowi mimowolnie wrywa się westchnienie: „Ach! jakżeśmy nisko upadli pod względem towarzyskim!“ Ubolewania, co do obniżenia poziomu moralnego są tu zupełnie niewczesne. W epoce rokoka, empiru, a nawet romantycznych przeanieleń zepsucie napewno nie było mniejsze, niż dziś, że już nie wspomnę o bowarystycznych metodach pozytywizmu. Ale tam porywy miłosne miały pewien styl, owiane były, czy tęczą poezji, czy wreszcie, melancholijną mgłą „kobiety niezrozumianej“.

Tutaj niema nietylko stylu, ale nawet i porywów. Ci ludzie, pełzający przez życie, jak ślimaki w poszukiwaniu żeru, zatracili zupełnie nietylko poczucie tego, co możnaby nazwać prawdziwą „urodą życia“, ale nawet subtelniejsze... powonienie. Ta cała „fura słomy“ cuchnie — w najlepszym razie — stęchlizną. Jedyna dodatnia, w znaczeniu społecznym i rodzinnym, jednostka: zacna, energiczna i krzykliwa Opacka też niemożliwie pachnie naftaliną, przydymioną grochówką i wielkim praniem.

A „chypre“ pozostałych niewiast, tarzających się po scenie, gwałtownie domaga się przygotowawczych zabiegów, w postaci mydła, wody i szczotki ryżowej. Moralnie, intelektualnie, fizycznie i gospodarczo jest to ten światek, w którym lakieruje się paznokcie, bez uprzedniego ich wyczyszczenia. Smutne, ale prawdziwe.

S. P. O.

TEATR WIELKI

Otwarcie Opery — „Hrabina“ *Moniuszki*.

Są dzieła sceniczne, wywierające na publiczność specjalne wrażenie nietylko walorami artystycznymi, co reminiscencjami nastrojów pewnej epoki, stosunkowo niedawnej, a już pokrytej patyną rzeczy niepowrotnych. Pokolenie powojenne nie będzie nigdy w możności zadzierzgnięcia tych nici serdecznych, jakie wiążą ludzi z przed wojny z „Hrabina“, tych ludzi, dla których słynny polonez „Pan Chorąży“ łkał naprawdę stłumionym szlochem patriotycznego bólu, a czako ułańskie na głowie Kazimierza było symbolem nadziei zmartwychwstania.

Dzisiaj ta strona sentymentu odpadła. Ale zostało rzewne wspomnienie tych przeżyć wewnętrznych, które każdemu z nas mocno utkwiły w sercu na dawnych przedstawieniach „Hrabiny“. Te oklaski, które zrywały się samorzutnie i żywiołowo przy podniesionej kurtynie, były właśnie świadectwem siły tych wspomnień, stanowiących ciągłe odskocznię dla entuzjazmu narodowego.

Ci, którzy pamiętali Kruszelnicką i Korolewiczównę w rolach Hrabiny i Broni, nie mogli powstrzymać się od porównań, mało korzystnych dla obecnej obsady. Niemniej jednak przyznać należy, że strona wokalna i gra pani Ewy Turskiej-Bandrowskiej były poprawne i starannie, a pewne niedociągnięcia, czy przeciągnięcia w interpretacji nie psuły całości wrażenia.

Chorąży Michałowskiego, Podczaszyc p. Bolki i Dżidzi Romiejki—mieli właściwy wyraz charakterystyczny, trzymany w karchach estetycznego umiaru.

Natomiast Kazimierz Dobosza był dziwnie bierny i rozmazany. Wprawdzie znana jest prawda, że polak jest lwem w polu, a barankiem u stóp niewiasty, ale niestety, tutaj widzieliśmy tylko baranka, i to na różowej wstążce.

Sceny zespołowe i balet wypadły doskonale. S. P. O.

Z KSIĄŻEK

Zuzanna Rabśka. „Italijska i Wiosna“. Nakład księgarni Św. Wojciecha.

Była wiosna, kiedy dostrzegłam na mojem biurku tę małą książeczkę, o wdzięcznym formacie i dyskretnej winiecie okładkowej.

— Ach! znowu te Włochy! — pomyślałam z niechęcią. — Czyż można coś naprawdę nowego i świeżego napisać o Italji? „Znasz li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?“ Temat wielokrotnie i nieuleczalnie zbanalizowany.

Wzięłam do ręki małą książeczkę — przyznaję, że bez przekonania. Czytałam ją, gdzie się dało: w tramwaju, w kawiarni, między rewizją numeru, a przyjmowaniem interesantów. I już na pierwszej karcie spotkała mnie miła niespodzianka. Sylweta ulicznego malarza we Florencji nie tylko pogodziła mnie z książką, ale zapaliła ciekawością do dalszych szkiców. Co autorka znajdzie nowego w Fiesole, w Wenecji, w Pizie; jaki ton wydobędzie z Mantui, Werony, Asyżu, Ferrary, Rawenny, Palermo i Taorminy? Jakimi manowcami krążyć będzie jej dusza i wyobraźnia, by uniknąć wydeptanych ścieżek baedekerowskiej banalności?

Intuicja artystyczna i wysoka kultura autorki wskazała jej najwłaściwszą drogę. Prostą i jasną drogę szczerze odczutu na

stroju. Na tej drodze spotkała i gościnnego obdartusa z Orvieto, bezinteresownie raczącego cudzoziemców królewskim trunkiem, i dwóch mnichów, orzeźwiających się wodą z cysterny w Tivoli, cysterny, która była łożem śmiertelnym rzymskiej tancerki; i rudą, jak pomarańcza, młodą malarkę, uwieczniającą czar podwórca klasztorowego w Palermo; i zakochaną parę na campo santo w Pizie, rzucającą różę rozkwitłą na karty księgi, którą czyta kamienna śmierć...

Człowiek nie stanowi tu sam przez się odrębnej istności; jest fragmentem krajobrazu, czasem jego najwyższym tonem, czasem tylko konstruktywistycznym zwornikiem, spinającym żywą kłamrą marmury i różę, bóstwa umarłe i wiecznie odradzającą się legendę.

Była wiosna, kiedy skończyłam czytać książeczkę o Italji. Zamykając ją, pomyślałam: „Trzeba jechać do Włoch“. Dziś zabieram ją z sobą pod italskie niebo, — małą książeczkę z czarną pinją i szafirowym morzem na okładce.

Tym, którzy ze mną nie jadą, radzę przeczytać „Italijską i Wiosnę“. Obudzi ona napewno w niejednym sarmackim sercu atyńską tęsknotę do drugiej ojczyzny każdego człowieka kulturalnego.

S. P. O.

Janina Maszewska-Knappe. Tajniki świata zwierzęcego. Nakładem „Rzeczy ciekawych“ Warszawa 1927 r.

Książka naprawdę ciekawa i — potrzebna. Znać w niej nieklamane ukochanie i zrozumienie świata zwierzęcego i dużą znajomość przedmiotu.

Autorka metodę pracy kreśli zupełnie wyraźnymi linjami, dając na początku każdego rozdziału suchą naukową teorię, aby następnie przejść do dowodów żywych, prawie że dnia wczorajszego. Teoria ta wydaje mi się jednak trochę za bardzo przeładowana filozoficznymi dociekaniem, a może tylko przyciężki styl wywołuje to wrażenie. W każdym razie — forma szwankuje; po prostu co krok spotykamy wadliwą budowę zdania, (np. „ze zwierzętami mamy zwykle najwięcej do czynienia z dorosłymi“)!ll

A szkoda, bo książka dużo zyskałaby na wartości, gdyby była lżej i... poprawniej napisana.

Myszę jednak, że autorka, widocznie rozmiłowana w swym przedmiocie, nie poprzestanie na tym pierwszym wylomie w twierdzy milczenia o psychice zwierzęcej, lecz postara się może jeszcze głębiej i samodzielniej ująć ten ciekawy temat. Wtedy i styl pewno będzie poprawniejszy.

Ta książka, to próbne kroki, i trzeba przyznać — zupełnie udane. Zwierzęta myślą i przeżywają — to założenie, a dowód przeprowadzony jasno i logicznie. Można więc dziełko to polecić każdemu miłośnikowi zwierząt: sprawi mu rzetelną przyjemność

J. M.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Drobnych rękopisów nie zwracamy. Z obszerniejszych nowel, artykułów i t. d. ulegają zwrotowi tylko prace, zaopatrzone znaczkami na odpowiedź i wyraźnem żądaniem odesłania wrazie nieprzyjęcia.

* * *

Pani Z. S. Strzemieszycy. Z seminarjum można wstąpić na Uniwersytet, tylko na wydział humanistyczny. Szkoła robót ręcznych znajduje się przy Państwowem Seminarjum Rzemiosł (Nowowiejska 43), lecz podanie o przyjęcie należało składać w marcu. Jest prócz tego dużo szkół prywatnych, jednak nie dają one praw nauczania.

Państwowa Szkoła Higjenu jest przeważnie dla lekarzy; obecnie, od września będzie komplet pielęgniarek przeciwgruźliczych, bezpłatny, trwający kilka miesięcy, Adres szkoły: Warszawa, Mokotów, ul. Chocimska.

KIEDY I JAK WIELE MOŻNA TAŃCZYĆ?

Specjalnie rozwinięte od kilku lat upodobanie do tańca zdaje się dochodzić do zenitu. Tańczą wszędzie, zawsze i o każdej porze. Czy szła ten, zwłaszcza dla dorastającej młodzieży, nie jest zbyt krańcowy i wyczerpujący dla zdrowia? A jeżeli chcemy, żeby taniec był tem, czem być powinien, to jest zdrowym sportem i pożyteczną rozrywką — wiele czasu trzeba mu poświęcać, kiedy i jak trzeba tańczyć?

Oto pytania, nasuwające się zdrowemu rozsądkowi.

Odpowiedź na nie dał nam delegat Ministerstwa Sztuk Pięknych w Paryżu, na odbytym ubiegłego lata Międzynarodowym Kongresie Tańca w Nowym Yorku.

Interpelowany w tych kwestjach przez korespondenta jednego z pism francuskich, pan L. Staats, dyrektor szkoły tańca przy operze paryskiej, odpowiada:

„Obawa o nadmiar tańca słuszną jest tylko dla ludzi, którzy nie umieją tańczyć; dużo bowiem osób, uważanych za dobrych tancerzy, nie ma pojęcia o sztuce choreograficznej. Pomyślmy tylko, że w czasie trwania jednego tańca, danser zmuszony jest odetchnąć 60 — 70 razy na minutę i że prędko naraziłby się na zatrucie, gdyby źle oddychał. Podstawą zatem tańca jest prawidłowe oddychanie. Sześć na dziesięć osób taniec męczy, bo nie umieją oddychać; dzieci też prze-



ważnie oddychają wadliwie, bo za płytko. Dobry nauczyciel zauważy to natychmiast. Do tańca potrzebne są: silna budowa, dobrze rozwinięte płuca i zdrowe serce. Każdy młody osobnik, mający te kwalifikacje, ucząc się tańczyć, będzie rósł i rozwijał się, dzięki gimnastyce mięśni, racjonalnemu poruszaniu się i prawidłowemu oddychaniu. Bardzo rzadkie są wypadki, kiedy dziecko, zamiast rozrastać się — zanika. Jest to, powtarzam, rzadki, ale znamienity objaw; trzeba zaprzestać nauki, gdyż widocznie taniec mu szkodzi. Na wprawę w taniec amatorowi godzina dziennie wystarczy; nie mówię tu o samym tańcu, ale o ruchach plastycznych, które nadają giętkość członkom. Nie można tańczyć, nie umiając stawiać nóg, obracać ciała i nie znając ruchów tanecznych; a nie umiając tańczyć, tańczy się w sposób szkodliwy dla zdrowia. Zadnemu ze sportów nie można poświęcać się przez tak długi czas, jak tańcowi. Zawodowi tancerze pracują nieraz po 18 godzin dziennie, pomimo to, często spotykamy czterdziestoletnich tancerzy, czem nie pochwała się ani szermierze, ani pływacy, ani biegacze.

Tancerz powinien żyć higienicznie, odżywiać się lekko, a posilnie, a żadne pobudzające środki nie będą mu potrzebne. Jeżeli ktoś uczy się tańczyć dla przyjemności, niemniej przejść musi stopniowe ćwiczenia zawodowe; naturalnie, nie tak długo i nie tak wyczerpująco odrabiać je będzie. Amatorka po dwóch latach nauki i wprawy, przy wrodzonych zdolnościach, tańczyć może doskonale; kiedy tancerka zawodowa, chcąc wybić się na pierwsze miejsce, potrzebuje co najmniej 10—15 lat sumiennej pracy.

Rozpocząć naukę tańca trzeba wcześniej — im wcześniej, tem lepiej, że tak powiem. Małe dzieci z zamiłowaniem oddają się tańcowi; trzeba ich do tego zachęcać, kierować nimi, nie nudząc, a od sześciu—siedmiu lat dać im sumiennego nauczyciela, bo nic tak nie porządkuje ruchów człowieka, jak nauka tańca.

Kiedy przestać tańczyć?

Jest to trudne pytanie, wymagające zresztą zupełnie indywidualnej odpowiedzi. Prawidłowemu rozwojowi młodych organizmów taniec sprzyja nadzwyczaj; dla starszych—stanowi też miłą, zdrową rozrywkę; tańczyć zatem można dopóty, dopóki zręczność i ochota dopisują. Często pięćdziesięcioletnia kobieta, lub mężczyzna mogą być jeszcze doskonałymi tancerzami, a tańcząc, przedłużają młodość, bo utrzymują giętkość stawów i sprawność mięśni.

Nauka tańca powinna należeć do programu nauk obowiązujących w każdej szkole, naturalnie w zakresie tańców klasycznych, będących jej podstawą. Nigdy nie pozwalajmy dzieciom tańczyć nieprawidłowo; sprowadza to w przyszłości ujemne rezultaty. Lekcje tańca powinny odbywać się w warunkach zdrowotnych: sala musi być dobrze przewietrzana, w zimie dobrze ogrzana. Pomimo chłodu, okna od góry, dla uniknięcia przeciągów po jednej tylko stronie, za zapuszczonemi firankami należy stale otwierać. Amerykański system wymaga—dla pobudzenia reakcji w organizmie, stosownie do indywidualności danego osobnika, — zimnych, albo gorących natrysków po lekcji. We wszystkich szkołach tańca jakie zwiedzałem w Ameryce, widziałem podobne urządzenia; u nas system ten nie jest znany, a choć bardzo pożyteczny, nie sądzę, aby bez poważnej opozycji wprowadzić go było można. Co do tego, jak powinno się tańczyć, po długich latach doświadczenia doszedłem do wniosku, że każdy tańczy wedle swojego temperamentu. Brałem i dawałem lekcje w różnych krajach: w Ameryce, w Szwecji, w Niemczech; badałem nawet taniec chiński i pojąłem, że taniec jest odbiciem indywidualności człowieka, każdy wkłada weń coś osobistego. Czyż nie zauważyliśmy tego w tango, np.: każda para, choć uczona podług jednych zasad, tańczy go inaczej; to samo widzimy w charlestonie. Jest to zresztą naturalne: francuz tańczy samodzielnie, kiedy Niemiec, np. czerpie efekty z zespołów, a ginie w pojedynczych figurach. Taniec, mający w sobie zawsze coś z charakteru narodowego, dostraja się również do ewolucji obyczajów. Niema w tem nic złego; tańczmy tańce kosmopolityczne, byleśmy zachowali dla tańców narodowych, dla szlachejnych tańców przeszłości, jak gawot, menuet, polonez—należyty szacunek, są one bowiem przykładem harmonji i wdzięku tańca.



Jeżeli ktoś dokładnie posiada zasady nauki tańca, z łatwością będzie tańczył wszelkie fantazyjne nowości—kiedy niemożliwym będzie, tańcząc nawet najlepiej różne tanga i charlestony, tańczyć szlachejne tańce przeszłości. We Francji zasady klasycznego tańca zostały ustanowione przez Królewską Akademię tańca, która, uległszy pewnym zmianom, przeobraziła się w Narodową Akademię tańca, do dziś egzystującą. Aby taniec w pełni zachował swój urok, trzeba, żeby wdzięk i lekkość kobiety, dopełniły siłą i zwinność mężczyzny.

Choreografia powinna być zastosowana tak w wychowaniu chłopców, jak i dziewcząt. Chyłąca się we Francji do upadku, szlachejna sztuka tańca od niedawna zrobiła duże na polu choreograficznym postępy; młodzież tańczy o wiele lepiej, niż poprzednie pokolenie, a temsamem zdaniejsza jest do wszelkich sportów, gdyż taniec jest ostatniem słowem kultury fizycznej, nadając ciału ludzkiemu doskonałe proporcje i wyrabiając w niem idealną równowagę.

Przytaczając wiernie słowa francuskiego profesora tańca, jego pogląd na taniec, jako naukę i sport, zostawiamy do uznania naszych czytelniczek, — bez komentarzy, zwracamy tylko ich uwagę na znaczenie i powagę, z jakimi odnosi się p. St. do swego zawodu.



PERFUMY

Dzisiejszą ojczyzną perfum jest południowa Francja, gdzie cudowny klimat i cudowna operacja słoneczna przyczyniają się do wydobycia z kwiatu maximum aromatu.

Kto zna francuską Rivierę, musi mieć żywo w pamięci plantacje wonnych kwiatów, których całe grzędy spotyka się, jadąc od strony Cannes ku włoskiej granicy. Przemysł perfumeryjny skoncentrował się w Grasse, gdzie liczne wytwórnie wonnych olejków znalazły siedzibę.

Sposób dobywania aromatów, oraz utrwalanie takowych, jest przeważnie ściśle strzeżonym sekretem poszczególnych fabryk. Ogólnie znanymi sposobami są dwa:

Pierwszy—„par infusion“, polegający na polewaniu kwiatów ciepłym olejkiem, przy temperaturze 65°, przyczem kwiaty zmienia się kilkakrotnie, tak, że tłuszcz przesyca się pierwiastkiem wonnym.

Sposób drugi: „enfleurage“—polega na przekładaniu tłuszczu warstwami kwiatów, do czego w praktyce służą gablotki o szklanych ścianach. Ścianki te pokrywa się od wewnątrz warstwą czulego na olejki eteryczne tłuszczu, poczem wypełnia się gablotkę świeżemi kwiatami, zmieniając takowe w pewnych odstępach czasu.

Wonności, jako takie, sięgają historją swą czasów starożytnych, kiedy używane były do namaszczenia żywych i zmarłych.

Zamiłowanie do nadużywania wonności skłoniło sławnego prowadawcę Solona, już w sześćsetnym ro-

ku przed Chrystusem, do wydania prawa, zakazującego mężczyznom używania perfum. Jest to najprawdopodobniej źródłem zwyczaju, który do dzisiaj każe uważać nieumiarkowane perfumowanie się mężczyzn za niestosowne i w złym tonie.

W starożytnym Rzymie patrycjusze namaszczają ciało wonnościami, używając różnorodnych olejków, dając pierwszeństwo: mięcie, macierzance, esencji bluszczowej i olejkom palmowym.

Jak wielką wagę przywiązywano podówczas do wonności, świadczy fakt, że podarek złożony z pachnideł, był oznaką specjalnego respektu dla osoby obdarowanej, potwierdzenie czego znajdujemy nie tylko w dziełach historycznych, ale i w Piśmie Świętym.

W czasach starożytnych uprawiano też sposób perfumowania się zapomocą kadzideł. Pałac wonności, przebywano czas dłuższy w ich dymie, co powodowało przepojenie szat zapachem.

Jak zaborczą okazała się ta fala wonnych oparów, która przysłała do nas z Indyj, Persji, Chin, i Egiptu, świadczy jej triumfalny pochód przez cały świat i władcze stanowisko, jakie zajęła.

Śmiało rzec można, że przemysł perfumeryjny jest jednym z bardziej rozgałęzionych i intratniejszych.

W wyrobie perfum przoduje Francja, która z wrodzoną sobie subtelnością i dobrym smakiem po mistrzowsku łączy i dobiera aromaty, osiągając cudowne, wnikliwe i niezastąpione wonie.

Prócz wykwintnego zapachu, perfumy francuskie odznaczają się jeszcze i bardzo pięknym opakowaniem, któremu nowocześni francuscy fabrykańcy umieli nadać cechę prawdziwie artystyczną, starając się o to, aby szata zewnętrzna stała na równej wysokości z zawartością flakonów.

W dziedzinie perfumeryjnej wytwórczość polska stoi bezwzględnie niżej od zagranicy. Zapachy perfum naszych są nietrwałe, pomysłowość dobywania efektów — mierna. Zadawaliśmy się przeważnie niezbyt udolnym naśladowaniem zapachów znanych, licząc na to, że poważna różnica w cenie wyrówna niedobory.

W przemyśle tym leży dla nas ogromna przyszłość, a siły fachowe, które, kształcąc się w wytwórniach zagranicznych, wiedzę swą zużytkowałyby w Polsce, — mają zapewnione powodzenie, jakie nie tylko przysporzyłyby im dużego dochodu, ale odbiłoby się dodatnio i na interesach państwa.

Stwierdzenie wyższości wytwórczości zagranicznej nad naszą w dziedzinie perfumeryjnej nie wyklucza uznania, z jakim odnieść się musimy do wyrobów wielu zasłużonych firm krajowych,

Posiadamy bezsprzecznie dobre mydła i wody kolońskie, mogące zadowolnić wybredne gusta, i sądzę, że zrozumienie doniosłej kwestji popierania wyrobów krajowych przez kobiety, które są ich głównymi odbiorczyniami, pomogłoby przemysłowi naszemu dźwignąć się na odpowiednie wyzyny,

A teraz słówko o zastosowaniu perfum.

Wonia piękna, subtelna i wnikliwa, jest w stanie dać dużą dozę rozkoszy. Ma ona w sobie czar niezaprzeczony i właściwość bezcenną wskrzeszenia chwil niepowrotnych. Czyż jest między nami taka, która w smudze ulubionego zapachu nie odnalazłaby wspomnień i nastrojów chwil dawno minionych?

W smudze perfum, lub kwietnej woni, tak, jak w echach melodji, żyje wiecznie i trwale cud przeżyć najcenniejszych.

Zapach i melodia mają ten bezcenny dar wskrzeszenia, i to jest może jednym z najsilniejszych i najtrwalszych uroków, skoncentrowanych w woni perfum.

Kobieta w „linji“ nie zmienia perfum. Chciałam wyrzec tu brzemiennie odpowiedzialnością słowo: nigdy, — powstrzymuje mnie od tego przeświadczenie, że są jednak okoliczności, które wpływają na konieczność zarzucenia wybranego zapachu, chociażby zbyt popularność takowego, co dzieje się często, gdy w grę wchodzi perfumy, które umiały pozyskać sobie wstępny bojem szerokie masy.

Narówni z radą nienadużywania perfum, postawić trzeba umiejętność dobrania odpowiednich do typu danej jednostki, a przytem takich, których pierwiastek, ciekawy i złożony, ma dar zachowania uroku, pomimo wiecznie nowych kreacyj.

Osoby, doceniające wykwint, którym nacechowane jest stałe używanie jednych i tych samych perfum, a przytem wielką przyjemność, jaką czerpiemy z poczucia wyłączności i pewności, że wonia nasza, naszą jedynie pozostanie, — mogą łatwo — przez umiejętną mieszanie, której sekretu pilnie strzec winny — osiągnąć zapach specjalny, odmienny od wszystkich, w handlu się znajdujących.

Za stałym używaniem jednakowych perfum idzie wśladać przemiła wonia, jaką przesycają się wszelkie przedmioty, do danej osoby należące. Płyńie za nią stale dyskretna smuga woni indywidualnej, która ma w sobie czar specjalny, a bardzo wytworny i rzadki.

W parze z uprzywilejowaniami perfumami winny iść mydła i puder, aby domieszka niepowołaną, a odrębną, nie zakłócać wybranej woni. V.



ZNACZENIE DROŹDŹY RASOWYCH DLA WYROBU WIN OWOCOWYCH

Produkcja win owocowych ma ogromne znaczenie higieniczne i ekonomiczne; nic więc dziwnego, że każdy, komu na podniesieniu ogólnego dobrobytu zależy, śledzi z zainteresowaniem rozwój tej gałęzi przemysłu. Z prawdziwą przyjemnością znalazłam na łamach „Bluszczu“ artykuły, poświęcone tej kwestji. Artykuły te, napisane nadzwyczaj jasno i przystępnie, oddadzą niewątpliwie wielkie usługi naszym paniom; chcę jednak dorzucić do nich parę uwag, a to w sprawie, której p. W. D. poświęciła tylko słów parę, t. j. w sprawie drożdży winnych.

Fermentacja alkoholowa jest, jak wiadomo, wynikiem procesów życiowych drobnoustrojów roślinnych, zwanych drożdżami, które rozkładają cukier na alkohol i bezwodnik kwasu węglowego. Oprócz tych produktów głównych, powstaje podczas fermentacji szeregu produktów ubocznych, jak: gliceryna, kwas burztynowy, aldehydy, estry i t. d., które wszystkie razem warunkują t. zw. bukiet wina, t. j. jego smak i zapach. Znamy najrozmaitsze gatunki drożdży; te, które żyją na winogronach, obejmujemy ogólną nazwą droż-

dzy rasowych winnych, w przeciwieństwie do drożdży dzikich, czyli drożdżaków, żyjących na naszych owocach. Przebieg fermentacji, t. j. ilość wytworzonego alkoholu, oraz jakość i ilość produktów ubocznych zależną jest od rodzaju drożdży, które fermentację spowodowały, a różnice w gatunkach win gronowych zależą w pierwszym rzędzie od gatunku drożdży, które na danych winogronach żyją; inaczej bowiem w szczególności odbywa się fermentacja, spowodowana drożdżami Sauternes, inaczej drożdżami Madeira, Tokay itd.

Ponieważ przy wyrobieniu win owocowych dążymy do tego, aby upodobnić je jaknajwięcej do win gronowych, przeto należy używać wyłącznie tylko drożdży rasowych tego gatunku, jakiego wino chcemy otrzymać, a nie pozostawiać fermentacji drożdżom dzikim, lub też drożdżom zwykłym, prasowanym. Fermentując moszcz owocowy odpowiednim gatunkiem drożdży rasowych, otrzymujemy wina tak ładnie podobne do gronowych, że nawet wytrawni znawcy nie są w stanie odróżnić jednych od drugich, i zdarzały się wypadki, że fachowi winiarze uznawali np. wino jabłkowe za wino węgierskie i t. p.

Sprowadzanie drożdży rasowych ze stacji doświadczalnych jest bardzo utrudnione, ponieważ: musi się je zamawiać na kilka dni naprzód, flaszeczka może łatwo ulec rozbiciu podczas transportu, cena jest dość wysoka, a co najważniejsza, drożdże te psują się w krótkim czasie.

Dlatego dużym postępem w rozpowszechnieniu winiarstwa domowego było wyprodukowanie rasowych drożdży w stanie suchym i trwałym. Drożdże takie mogą być przechowywane całymi miesiącami, nie tracąc nic ze swojej siły żywotnej. Drożdże te mają olbrzymie zastosowanie w Niemczech, Czechach, i dawniej rynek polski był w zupełności przez drożdże niemieckie opanowany.

Obecnie oryginalne, rasowe drożdże francuskie, włoskie, hiszpańskie i t. d.—w formie trwałej i suchej—wyrabia pod nazwą „Vinum“ laboratorium mykologiczne w Krakowie; można je nabyć we wszystkich drogerjach. Ze względu więc na istnienie produktu krajowego o pierwszorzędnej jakości, unikać należy fabrykatów niemieckich.

Wyższość drożdży suchych nad mokremi jest ze względów praktycznych niezaprzeczona, spodziewać się więc należy, że gdy niedogodności, związane z używaniem drożdży winnych, w ten sposób zostały uchylone, winiarstwo domowe rozwinie się jeszcze lepiej, i stanowić będzie ważną pozycję dodatnią w naszym życiu gospodarczym.

Dr. M. S.



ZASTOSOWANIE POMIOTU PTASIEGO W OGRODACH

Wiadomo, że nawóz, jesienią przyorany, daje wielkie korzyści, świeży zaś pomiot ptasi, nieumiejętnie zastosowany, bywa nawet niebezpieczny. A jednak przedstawia on dużą wartość dla gospodarstw ogrodowych, tylko powinien być zużyty we właściwy sposób.

Bez żadnych zastrzeżeń można pomiot ptasi dawać do nawozu bydłowego. Ale w porze letniej nie gnoimy gruntu, gdyż rośliny już są w pełni rozwoju. Mimo to pomiot ptasi może oddać nieocenione usługi, jako nawóz pogłówny, t. j. użyty do polewania zagonów, po rozrobieniu go w wodzie.

W tym celu zaleca się nawóz, wybrany z kurnika, zsypać do beczek. W miarę potrzeby, wrzucamy pewną jego ilość do innej kadzi, lub beczki i zalewamy wodą. Po 2—3 dniach należy wybrać znajdującą się tam słomę, lub inne zanieczyszczenia, a całą zawartość parę razy dziennie mieszać, dopóki nie ustanie fermentacja, wywołująca pojawianie się pęcherzy powietrznych. Taka esencja stanowi cenny dodatek do wody, w ilości $\frac{1}{4}$ (t. j. 1 część zasilku na 3 części wody) lub nawet mniejszej. Im częściej zamierzamy zasilać, tem słabszego używamy roztworu.

Nie należy nigdy zasilać wczasie suszy, bo wtedy ziemia pochłania bardzo wiele nawozu i spragnione korzenie zbyt łapczywie go wsysają. Lepiej wykonywać to po deszczu, albo uprzednio poleć ziemię obficie czystą wodą.

Roztwór pomiotu ptasiego służy doskonale wielu roślinom: więc może być użyty do zasilenia rosnących w kublach oleandrów, wawrzynów (laurów), smokowców, mirt, cytryn, pomarańcz i t. p. W gruncie mile go widzą prawie wszystkie rośliny warzywne i kwiatowe, z wyjątkiem: cebuli, ziemniaków, grochów, fasol, roślin iglastych, dla których zawiera za dużo azotu. Z kwiatów nie lubią go ukońnice (Begonia).

Pozatem pomiot ptasi stanowi doskonały materiał do formowania kup kompostowych, albo zwykłym sposobem, albo przez łączenie go z miałem torfowym. Najlepiej w tym celu pomiot ptasi rozmoczyć w wodzie, pozostawić w niej przez 2—3 dni, a następnie dodać tyle torfu, żeby ciecz dobrze zageścić. Kiedy torf wchłonie całą ilość wody, zawartej w beczce, dodaje się nawozu krowiego, popiołu drzewnego, trocin lub innych materij organicznych, więc chociażby dobrej ziemi próchnicowej, i wysypuje na miejsce półcieniste, na powierzchni ziemi (nie w dołach). Po parokrotnym przekopaniu w ciągu kilku tygodni, uzyskamy bardzo cenny zasilek, który możemy dodawać do ziemi bez obawy ujemnych skutków, choćby sadzenie, czy siew roślin miały nastąpić bezpośrednio po uprawieniu.

W podobny sposób można wyzyskać i inne palące, a bardzo pożywne nawozy, jak np. owczy, gołębi i t. p. Niesłusznie też lekceważony jest w gospodarstwach pomiot kaczy, który zawiera liczne składniki odżywcze, pożyteczne dla roślin.

Stan. Schönfeld



PRANIE FIRANEK

Na żądanie Młodej Gospodyni

Choć już niejednokrotnie podawaliśmy sposoby prania i prasowania firanek, nie możemy odmówić miłej czytelniczce umieszczenia na jej benefis opisu tej dosyć trudnej roboty, wymagającej dużo staranności i ostrożności w wykonaniu. Zanim jednak przystąpimy do przedmiotu, mającego stanowić treść dzisiejszej naszej pogawędki, musimy podziękować „młodej gosposi“ w imieniu Redakcji „Bluszcze“, za zaufanie i uznanie, którymi nas darzy. Cieszymy się nad wyraz trafnym odczuciem i określeniem celów naszej pracy. Ma Sz. Pani rację — nie każda kobieta może, choćby najbardziej chciała, być genialną działaczką społeczną, ale każda może, jeżeli chce, zostać praktyczną, pracowitą, oszczędną i zapobiegliwą. — Niestety, rzadko spotyka się osoby, któreby z taką szczerością przyznawały się do niedostatecznego przygotowania do życia praktycznego i tak bardzo pragnęły uzupełnić te braki, jak nasza interlokutorka; któreby tak rozumiały, że, jeśli dom ma być trwały, musi być oparty na mocnych fundamentach, a w tym wypadku fundamentem jest gruntowna znajomość zajęć, należących do obowiązków rozumnej, mającej poczucie własnej godności, pani domu.

Wobec tego, wracajmy do firanek, które lepiej prać częściej, bo bardzo brudne łatwo można porządnie. Zdjęte firanki doskonale wytrzeć z kurzu i starannie poreperować, następnie, złożone w kilkoro, moczyć w obfitej zimnej wodzie. Kto ma wannę, najlepiej ułożyć je w niej i puścić wodę z kranów tak, aby — nakszałt bieżącej — przepływała ciągle świeża, spłukując brud z firanek. Gdzie niema kanalizacji, trzeba często zmieniać wodę w której moczą się firanki. Wyjąwszy je z wody, prać w rozgotowanym zupełnie wystudzonym mydle, przyczem należy pamiętać, że firanek nigdy się nie trze, tylko wygniata, odlewając mydliny, gdy zrobią się szare, i zalewając świeżemi; czynność tę powtarza się, dopóki nie będą zupełnie czyste. Następnie wypłókać w zimnej wodzie, wycisnąć, — bez wykręcania — najpierw rękami, a potem w prześcieradle. Jeżeli tak, jak dziś się używa, firanki mają kolorowe hafty, lub aplikacje, trzeba je moczyć krótko w zimnej wodzie i to w tak obszernym naczyniu, aby leżały pojedynczo, nie załamując się, a tem samem na złożeniach nie zafarbowały białych części tła. Prać je trzeba prędko od ręki, w zupełnie zimnej wodzie mydlanej, a płókać w miękkiej, deszczowej, dodając jedną część mocnego octu. Lekko wycisnąć, wytrzeć z wilgoci i suszyć, rozciągnięte na płask a nie powieszzone, żeby nie zaciekały.

Do krochmalenia — o ile firanki są szare, albo kolorowe — używa się rozpuszczonej w wodzie gumy arabskiej, albo żelatyny; do białych — krochmalu ryżowego z dodatkiem paru kropel najlepszej farbki. Do suszenia najlepiej mieć drewniane ramy, długości i szerokości firanki obszyte multonem do którego przypina się gęsto stalowymi — żeby nie rdzewiały — szpileczkami firanki parami, kładąc jedną na drugą tak, aby prawa strona była w środku.

Można również rozciągnąć na materacu, albo na wełnianej kołdrze, gnieńce gdzie umocowanej na podłodze dużemi pluskiewkami, nakrytej prześcieradłem, na którym oznaczamy kolorową kredą prostą linię,

o jeden cm. dalej, niż miejsce, do którego powinna dojść firanka; przypiąć je szpileczkami do prześcieradła co pięć centymetrów, koniecznie po prostej nitce, inaczej bowiem nigdy po zawieszeniu ładnie układać się nie będą.

Jeżeli przyfarbowaliśmy firanki, trzeba krochmalic je pojedynczo, nacierając każdą z sobna gąbką, maczaną w wodzie gumowej przed rozpięciem.

Inkrustowane koronką, lub haftem firanki podłożyć, oprócz kołdry wełnianej, kawałkiem grubego multonu od prasowania. a gdy — w połowie przeschną, wyciskać inkrustacje gorącym żelazkiem, dosuszając również zapomocą prasowania całą firankę, uważając, żeby przestawiać, a nie przesuwac żelazka z miejsca na miejsce, a to żeby firanka nie odymała i nie wyciągała się.

Skoro ostygna, odpiąć je, zdjąć ostrożnie, a jeżeli brzegi w miejscach, gdzie były przypięte, są powyciągane, przyprasować.

Tiulowe firanki wystarczy delikatnie wyciągnąć wzdłuż w dwie osoby, bacząc, aby nie porozrywać oczek; następnie rozpiąć, jak wyżej opisane i zostawić w spokoju do kompletnego wyschnięcia. Przy marszczone batystowe zazdrostki, wszywane we wstawki koronkowe, przypina się gęsto szpilekami i wyciąga fałdki bardzo mocno, aby równo się ułożyły.

Można — prasując koronki — wycisnąć je lekko u podstawy, podnosząc następnie podwójną szpileką. Z grubej krętej bawełny wiązane frendzle u dołu stor równo wyciągnąć, przypinając supełki szpilekami; frendzle, wyciągane z materiału, wyszczotkować ostrą szczotką, wyprasować i, póki ciepłe, rozczesać grzebieniem; frendzle z drewnianych paciorków, bardzo dziś używane do modnych stor, odpruć do prania, bo zwykle puszczają i brzydko plamią kosztowne nieraz firanki.

Robiąc — dzisiaj tak bardzo modne — story i firanki aplikowane, inkrustowane, lub haftowane kolorowo, trzeba przekonać się, czy materiały, przeznaczone na nie, jak: płótna, batysty kolorowe, wełny i bawełny nie puszczają, a dla pewności sparzyć je przed użyciem octem z solą.

J. S.

„KULTURA CIAŁA“

miesięcznik ilustrowany, poświęcony szerzeniu kultu
zdrowia fizycznego i racjonalnej kosmetyce,
pod red. Dr. Julji Świtalskiej

Tytuły działów, prowadzonych przez
najlepsze siły lekarskie i fachowe:

Higjena ogólna z uwzględnieniem specjalnie kobiecej.
Wychowanie fizyczne. Kosmetyka lekarska. Choroby
skórne. Światłolecznictwo. Rytmika, tańce plastyczne i t. d.
Środki kosmetyczne. Masaż ogólny i kosmetyczny. Za-
gadnienia ogólnej natury. Nowości (buduar pięknej ko-
biety, rozmowy przez telefon, radjo, wywiady z artystka-
mi, pięknymi kobietami i t. d.) Dział odpowiedzi na listy
czytelniczek.

Cena n-ru 1 zł. 50 gr., prenumerata kwar-
talna z przesyłką pocztową 4 zł. 50 gr.

Nadsyłać czeiki: P. K. O. Warszawa, Tow. Wyd. „Bluszcze“
Nr 13.555. Administracja: Krak.-Przedm. 99.

„KABACZKI“

Ponieważ kolega z „Bluszczy“, pan Stanisław Schönfeld, opisując w sposób niesłychanie interesujący te wyborne harbuziki, sprowokował mię do tego, pozwałam sobie podać tu kilka sposobów ich użycia. Jest to jarzyna tak wyborna, że doprawdy szkoda, iż jest tak mało znana i używana. Na kresach północno-wschodnich używaliśmy nietylko małych, kilku lub kilkunasto calowych kabaczków,—wyrastały one nam tam do łokciowej przeszło długości, były śliczne śnieżno-białe i nietylko nic nie traciły ze swego smaku, lecz takie, wyrośnięte, były jeszcze bodajże delikatniejsze. Sadzono je tam zwykle na kupach kompostowych i polewano bardzo obficie, co się może przyczyniło, że wyrastały do tak olbrzymich rozmiarów. W Petersburgu i Moskwie, gdzie rynek jarzynowy był doskonale przez rok cały zaopatrzony, w drugiej połowie lata i do późnej jesieni, obok małych, białozielonych kabaczków, sprzedawano także duże, bardzo duże nawet i ceniły się one nie mniej od tych małych.

Podam parę najbardziej rozpowszechnionych sposobów ich użycia. Po delikatnem zdjęciu skórki ostrym nożem, nie z końca, lecz w jednej z podłużnych ścianek wycinano długi otwór, przez który wybierano łyżką miąższ i ziarnka, (nawet u takich ogromnych egzemplarzy jeszcze miękkie i niedojrzałe). Na taki duży kabaczek, ważący około trzech kilo, bierze się kilo mięsa wołowego, lub też baraniny, (jedno lub drugie po połowie z łojem), ćwierć kilo ryżu gotuje na sypko na wodzie, z dodaniem łyżki masła; dwie duże cebule, utarte na tarce, dusi się, nie rumieniając, też z łyżką masła. Mięso, przepuszczone przez maszynkę, miesza się z ryżem i cebulą, soli, pieprzy,—przyczem, kto lubi, może dodać gałki muszkatołowej, majeranku, lub zielonego koperku. Farszem tym napełnia się szczerlnie wnętrze kabaczka, zamyka otwór, obwiązuje grubymi nićmi, lekko soli powierzchu. Do dużej waniénki, używanej do gotowania ryb, nalewa się na dwa palce gorącej wody, kładzie łyżkę masła, na to układa (na dziurkowanej podstawce, używanej przy gotowaniu dużych ryb) kabaczek, stawia na wolny ogień, przykrywa pokrywą i wolno dusi, aż kabaczek zupełnie zmięknie. Trwać to musi około godziny, gdyż w przeciwnym razie mięso wewnątrz pozostanie surowe. Teraz kabaczek wyjmuje się ostrożnie wraz z podstawą, przecina i odejmuje nitki, przesuwa na wygrzany półmisek i kraje ostrym nożem na dwucalowe plasterki. Sos, pozostały w waniénce, wysadza się prędko na silnym ogniu, zaprawia łyżką mąki, szklanką śmietany, zielonym koperkiem i polewa nim pokrajany kabaczek. Podawać należy tę potrawę bardzo gorącą, szczególnie jeśli do nadziewania była użyta baranina, nawet talerze do niej powinny być wygrzane.

Inny sposób nadziewania takiego kabaczka: Uduścić pół kilo młodych pieczarek, pokrajanych w paski, i ćwierć kilo najdrobniej pokrajanej cebuli w paru łyżkach masła. Ugotować ćwierć kilo ryżu na sypko, dodając łyżkę masła do wody, w której się ryż gotuje, zmieszać z pieczarkami, osolić, popieprzyć, nadziać kabaczek, dalej postępować, jak przy nadziewaniu mięsem. Gdy jarzyna miękka, przełożyć ją na półmisek, zachowując wszystkie podane powyżej ostrożności. Sos pozostały wysadzić prędko i zaprawić świeżemi, lub konserwowanemi pomidorami, jak zwykły sos pomidorowy, i polać nim kabaczek. Jeśli

rozporządzamy dużemi ilościami pieczarek, zamiast pomidorowego, zrobić sos pieczarkowy ze śmietaną.

Można też kabaczka użyć na jarzynę, krając go na części. Po zdjęciu skórki i odrzuceniu miąższu i ziarenek, pokrajać kabaczek w pasy, na dwa cale grube i 10 — 15 długie, (rozmiaru grubych szparagów), ugotować prędko w osolonym wrzątku, (można dodać łyżkę cukru do wody), odcedzić, ułożyć na kratce od szparagów, lub na serwecie, a w sosjerce podać masło z rumianą bułeczką, lub sos holenderski. Lub też ugotowane tak kawałki ułożyć na wysmarowanym masłem ogniotrwałym półmisku, — dwie łyżki masła i tyleż łyżek mąki zasmażyć na biało, rozprowadzić litrem dobrego mleka, lub śmietanki; osolić, wsypać garść ostrego, tartego sera, odrobinę białego pieprzu, zagotować raz, pokryć tym beszamelem jarzyny, osypać serem po połowie z tartą bułeczką, skropić masłem i wstawić dla zrumienienia na minut dziesięć w gorącej piec. Podawać bardzo gorące, aby beszamel nie opadł.

Wszystkie te sposoby przyrządzania dużych kabaczków można stosować do małych, które jednak znacznie krócej gotować należy, niż duże. Oprócz potraw na gorąco, można przyrządzić kabaczki na zimno, po grecku. Sześć do dziesięciu niedużych, ośmiocalowych, naprzykład, kabaczków obrać delikatnie ze skórki, odciąć im końce, wydrążyć miąższ i ziarnka. Pół kilo marchwi, ćwierć kilo pietruszki, małą główkę włoskiej kapusty, trzy pory, mały seler i ćwierć kilo cebuli, dusić w szklance najlepszej oliwy. Naprzód należy poddusić marchew i pietruszkę w wodzie, a gdy już zmięknie i woda się wydusi, dodać inne jarzyny, wszystko cieniuchno poszatkowane, dodać pieprzu i ziela w ziarnkach, parę listków, garść zielonej, siekanej pietruszki. Wystudzić, nadziać tem kabaczki, przypiąć odcięte końce drewnianemi szpilkami. Do pozostałej w rondlu oliwy, (może pozostać i część jarzyn) dolać świeżej, na gorącą ułożyć jeden obok drugiego kabaczki, posolić i dusić pod pokrywą, aż zmiękną. Kabaczki wyjąć na salaterkę, do oliwy w rondlu wlać pół szklanki dobrego, najlepiej estragonowego octu, zagotować i tą marynatą zalać kabaczki. Po dwudziestu czterech godzinach podawać. Zimą mogą stać tak przyrządzone parę tygodni.

Z dużych kabaczków można też przyrządzać sałatę octową o ślicznym, białym kolorze. Oczyszczone, jak zwykle, i pokrajane karbowanym nożem w zgrabne kawałki, kabaczki zalewa się zimnym octem, przegotowanym z pieprzem, zielem i imbirem. Po kilku dniach ocet się zlewa, korzenie odrzuca, ocet przegotowuje z niedużą ilością cukru i ponownie zalewa wystudzonym kabaczki. Po tygodniu ocet się znów zlewa, dodając taką ilość cukru, jak zwykle do sałaty octowej (mniej więcej pół kilo cukru na litr octu), zagotowuje, na gorący wrzuca kabaczki, natychmiast odstawia od ognia, gdyż kabaczki są bardzo delikatne i mogłyby się rozgotować. Po ostudzeniu składa się kabaczki w słoje, ocet raz jeszcze zagotowuje, dodając na każdy litr pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Zimnym zalewa się marynatę, zawiązuje słoje pęcherzem i przechowuje w chłodnym miejscu. Sałata taka nie ustępuje w smaku sałacie z melona i ma prześliczny, śnieżno-biały kolor.

Pani Elżbieta.





KARTOFLANKA Z GRZYBAMI

Ugotować smak z kostek wołowych, cielęcych lub wieprzowych z włoszczyzną, lub też tylko z włoszczyzny samej, jeśli nam chodzi o zupę postną, lub jarską. Na pięć talerzy zupy brać sześćdziesiąt deka już oczyszczonych kartofli, włożyć w zupę wraz z gałązką majeranku i trochę kopru; gotować, aż kartofle się rozgotują. Kostki odrzucić, kartofle z włoszczyzną przepuścić przez maszynkę, lub przetrzeć przez sito i zmieszać z rosółem. Oddzielnie usmażyć z łyżką masła dwadzieścia deka grzybów prawdziwych, maślaków, lub młodych kozaków, pokrajanych w paski; włożyć do zupy wraz pół szklanką śmietany, rozbitej z łyżką mąki; pogotować nie dłużej niż dwie minuty i wylać do wazy, gdzie włożyliśmy trochę usiekanego koperku. Do zupy podać grzaneczki z bułki, lub białego chleba, podsuszone z masłem i ostrym serem.

BARANINA PO TATARSKU

Dwa kilo tłustej baraniny wymoczyć, zbić mocno, osolić. Na brytfannie, — jeśli mamy piec w piecu, w dużym rondlu, — jeśli będziemy dusili na blasze, — roztopić trochę baraniego łoju, odjętego od naszej baraniny; na to ułożyć rząd białych liści kapusty, posypać grubą warstwą rozmaitej włoszczyzny (marchwi, kalarepy, pietruszki, porów, selerów, a najwięcej cebuli), położyć na to baraninę, znów dużo włoszczyzny, liście kapusty; posolić powierzchu, zawinąć szczelnie liście, aby sok z mięsa nie wypływał. Dusić, od czasu do czasu polewając wodą, aby się nie przypaliło. Po półtorej godzinie baranina, jeśli młoda, powinna być gotowa; zdjąć wtedy jarzyny, baraninę pokrajać w ładne plasty, ułożyć na półmisku, ponownie przykryć, obłożyć wkoło jarzynami i wstawić znowu w piec na kilka minut, aby się mocno rozgrzała. Podawać, jak każdą baraninę, bardzo gorącą. Jeszcze smaczniejsze jest to danie jeśli do innych jarzyn dodamy dużo świeżych pomidorów w całości. Najlepszy jest tak duszony mostek, lub górka: dyszek często potrzebuje więcej czasu do uduszenia.

GĄSKI NA ZIMĘ

Większość gospodyń zna tylko gąski marynowane, lecz te grzybki zjawiające się masowo jesienią na rynkach warszawskich, dadzą się zakonserwować i do użycia na świeżo, bez octu, tak dzisiaj przez lekarzy zabranianego. Gąski, starannie oczyszczone, oplókać w obfitej wodzie, (nie moczyć długo), — aby usunąć piasek, którego sporo jest pomiędzy dolnemi, żółtemi żeberkami grzybków; rozłożyć na płótnie, aby dobrze obeschły, pokrajać w cieniutkie paski. Rozpuścić w rondlu sporo masła, włożyć na nie gąski i dusić, często potrząsając rondlem, aby do dna nie przywarły, tak długo,

aż cały sos się wygotuje i masło czyste pozostanie. Osolić do smaku. Układać w małe słoiczki, mocno uciskając łyżką, aby nigdzie pustego miejsca nie pozostało i aby masło wystąpiło nad grzybkami. Dać doskonale wystygnać. Zalać na palec grubo rozpuszczonym, niezbyt gorącym, łożem baranin. Przechowywać w suchym miejscu. Do użycia łoż odrzucić, przesmażyć w masle pokrajaną drobno cebulkę, wrzucić gąski, posmażyć razem minut parę, dodać odrobinę pieprzu i podawać, jako wyborny garnitur do pieczeni, befsztyków, sznycli itp.

GALARETA Z BORÓWEK

Przebrane dobrze borówki oplókać, osączyć na sicie, przełożyć do rondla, zalać wodą, aby tylko objęła, zagotować. Gotować, aż popękają i blednąc zaczną. Wlać do flanelowego worka, dać ściec, potem jeszcze doskonale wycisnąć. Na litr takiego soku bierze się kilo cukru. Sok wraz z cukrem przełożyć do miedzianki mosiężnej, zagotować na gwałtownym ogniu, mieszając od dna, aby nie przywarło. Gotować prędko, wciąż próbując. Na zimny talerzyk rzuca się kropelkę syropu: gdy się galaretuje, a nie rozplýwa, galareta gotowa. Zlewać gorącą do słoików, — można i do większych, gdyż doskonale się ścina i konserwuje. Dobra do herbaty i jako bardzo wykwinny dodatek do drobiu i zwierzyny.

MUS ŚLIWKOWY

Jakiegokolwiek śliwki: czarne, różowe, lub zielone ugotować w bardzo małej ilości wody, przyczem dodać dla zapachu parę utłuczonych pestek. Przetrzeć masę przez sito i ostudzić. Na pół kilo masy dodać sześć listków żelatyny, rozpuszczonych w szklance wody i dobrą szklankę cukru, zmieszać z masą, na koniec wlać dwa białka i wszystko razem ubijać trzepaczką do kremu, aż zbieleje i zacznie gęstnieć. Formę kremową wylać wodą, wysypać cukrem, włożyć masę, ładnie zrównać łyżką, postawić na sześć godzin na chłodzie. Wyrzucić na półmisek, polać syropem owocowym, najlepiej wiśniowym, — i obłożyć wkoło biszkopcikami.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Emaljowane rondelki powinny być używane jedynie do produktów, gotowanych w wodzie: smażyć lub dusząc w masle, albo w innym tłuszczu, narazamy emalję na popękanie, a siebie na niebezpieczeństwo. — Żdźbła takiej emalji — tak swoim składem, jak ostrością — bardzo są szkodliwe dla organizmu. — Aby utrzymać takie rondelki w porządku, trzeba zacząć czerniałe, lub przypalone miejsca wytrzeć proszkiem kremortartari, rozrobionym w odrobinie wody; tą papką naciera się mocno brudne miejsca, a następnie płócze w obfitej wodzie.

* * *

Na wsi, gdzie używają jeszcze lamp naftowych, często przy nalewaniu przepełni się rezerwoar, a rozlana nafta może się zapalić. Nakryć palące się miejsce grubą derką, albo zalać mlekiem — pod żadnym pozorem wodą, bo płomień jeszcze się rozszerza.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu”. Redakcja „Bluszczu” zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad. nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu”. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani H. N. Odechów. Ze względów osobistych, jak i bezpieczeństwa uczniów, nie może siostra Sz. Pani poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, praca ta, bowiem, jak słusznie Pani mówi, potrzebuje „żelaznego zdrowia”; pozatem nie powinna osoba, dotknięta gruźlicą, narażać swoich uczni, czy uczenie przez obcowanie z nimi na zarażenie tą straszną, a tak łatwo udzielającą się chorobą. Zresztą dla osobistych względów zdrowotnych inny rodzaj zajęcia byłby odpowiedniejszy. Trzeba starać się o zajęcie, które dawałoby możliwość przebywania na powietrzu, a nie w dusznej najczęściej szkole. Czy zawód instruktorki hodowlanej nie byłby tu odpowiedni? Kursa instruktorskie mamy w Julinie pod Warszawą — poczta Łochów. — Cały kurs trwa 6 do 8-miu miesięcy — prowadzony jest na miejscu w Julinie. — Nauka z mieszkaniem i utrzymaniem kosztuje 60—80 zp. miesięcznie. — O bliższe informacje niech Sz. Pani zwróci się do p. Dyr. Trybalskiego pod adresem: ul. Nowowiejska 43. Rok szkolny rozpoczyna się, jak we wszystkich szkołach, to jest 1.IX. O ile mi wiadomo, już przed końcem ubiegłego roku szkolnego ani jednego wolnego miejsca nie było. Czy po ukończeniu szkoły, przy której niema internatu, uczennice otrzymują posady — nie wiem — sądzę jednak, że nie — zdolniejsze tylko mogą liczyć na polecenia w razie zapotrzebowania odpowiednich kandydatek.

Pani L. F. Kazimierz Biskupi. Żałoba, obowiązująca w wypadkach, nadmienionych przez Sz. Panią, jest sześciotygodniowa.

Aplikacje na płótnie można robić z sukna, albo z różnych nolorów płótna jedwabnego. O ile robota ma być do prania, nie można przylepiać aplikacji — trzeba robić desę drobniejszy, któryby tego nie wymagał. Obdzierać można figury wełną w odpowiednich kolorach, albo najgrubszym numerem bawełny D. M. C. Na szarem płótnie najładniej wygląda i najpraktyczniej — jest malowanie farbami do prania. Robota ta jest bardzo prosta — nie wymaga żadnego artyzmu. — Farb, tak zwanych profesora Buszka, dostanie Sz. Pani w Warszawie, w firmie J. Burotf — Nowy Świat 47.

Pani W. G. Płock. O ile Sz. Pani nie ma kogoś zaufanego w Warszawie, na którego gust mogłaby całkowicie liczyć — radziłabym zwrócić się do firmy Golińskiej, Senatorska 25, — sądzę, że kwestję kupna przedmiotu potrzebnego załatwi Szanowna Pani listownie, a pani Golińska, po porozumieniu, prześle wybraną rzecz za zaliczeniem pocztowym.

Pani H. B. Drohobycz. Jak to opis wskazanych przez Sz. Panią przedmiotów mówi — robi się je z resztek różnych materiałów, zastosowanych według gustu i pomysowości wykonawczy-

ni. Rozmiar, tak poduszki-walka, jak poduszki-taboretu — dowolny, spód taboretu w formie ogromnej, okrągłej poduszki, może być z szarego płótna — na wierzch położyć można okrągłą poduszkę, miękko wypchaną, ozdobioną haftem, aplikacją, lub malowaną; można otoczyć ją wkóło falbaną, która, opadając poduszkę, z przodu część taboretu, połączy obie części w całość. Spodnia poduszka może być wypchana mocno słomą, lub sianem, — wierzchnia — powinna być miękka.

Pani Helenie — Lubliniec. Szkoła, o którą Sz. Pani pyta, mieści się w Warszawie.

Pani A. Ł. — Sierakowo. Podaję Sz. Pani przepis, nadesłany nam przez jedną ze stałych naszych prenumeratorek, wypróbowany i poręczony przez nią. Wziąć dwie paczki średniej wielkości; w jedną z nich składać co dzień zniesione przez kury jaja, uzbierane z tygodnia; przekładać do drugiej paki tak, aby ostatnio zniesione poszły na spód. Przekładać w ten sposób jaja co tydzień, dopełniając paczkę świeżo zniesionymi w ostatnim tygodniu. Sposób niezbyt ambarasowny, a podobno niezawodny.

Do szkła wodnego użyć tyle wody, aby się zrobiło płynne — sposób przechowywania w nim jaj wyszedł obecnie zupełnie z użycia. Prosimy o spróbowanie wyżej podanego sposobu i doniesienie nam, jakie były rezultaty.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dziecinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Potrawy i konserwy z grzybów”

SPOSOBY UŻYTKOWANIA POSPOLITYCH I MNIEJ ZNANYCH GRZYBÓW

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Co trzeba wiedzieć o grzybach”

WIADOMOŚCI, NIEODZOWNE DLA KAŻDEGO AMATORA GRZYBÓW

CENA 1 zł 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.